

DZIS I JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok II

Warszawa 6 styczeń 1946

Nr. 1 (7)

Marjan Jedlicz

Myśli o zwycięstwie

Było to w roku 1938. Na pewnym zebraniu w Paryżu jeden z wybitnych Dominikanów francuskich tak określił zadania współczesnej elity katolickiej: „Il faut repensier la culture“. Trzeba na nowo, od podstaw przemyśleć zasadnicze zagadnienia kultury. Zyjemy bowiem wśród chaosu tak wielkiego, że nawet ludzie szczerze do prawdy chrześcijańskiej przywiązani, przyjmują w różnych dziedzinach myśli systemy całkowicie z nią sprzeczne. Trzeba więc od nowa przemyśleć.

Słowa te przychodzą na myśl, gdy się rozważa naszą obecną rzeczywistość w aspekcie: zwycięstwo — klęska. Popelniamy tu szereg jaskrawych uproszczeń, jesteśmy niekonsekwentni, bo myśl naszą obciążają przeżytki materialistyczno-liberalnej i pogańsko-nacjonalistycznej ideologii. Na tym się opiera nasz dość symplicystyczny optymizm.

Sertillange w swej wspaniałej książce „Notre vie“ powiada, że gdy chodzi o całkowitą pełną epopeję duszy ludzkiej — to nie można być dostatecznie optymistą, ale w obrębie spraw tego świata nieraz nie można być dosyć pesymistą. My zaś mamy tendencję do optymizmu b. konkretnego, doraźnego. Oczekujemy sukcesów zupełnie materialnych w krótkiej perspektywie naszego życia i naszych planów osobistych. W takiej krótkiej, materialnej perspektywie ujmujemy sprawy Kościoła i sprawy narodowe i do tych uproszczonych schematów sprawadzamy też pojęcia zwycięstwo — klęska.

Zapytajmy przeciętnego inteligenta-katolika i Polaka, co by on rozumiał przez zwycięstwo sprawy katolickiej u nas. W odpowiedzi otrzymamy obraz nacechowany naiwnymi uproszczeniami. Przebijając się będzie dosyć wyraźnie tendencja ujmowania statycznego i materialistycznego, chodzenia po linii najmniejszego oporu a największej wygody.

Pocziwa naiwność tych marzeń ma w sobie coś obcego pełnej dynamizmu, idącej zawsze na głębię i rozwijającej w dalekich perspektywach idei chrześcijańskiej. Otóż pewne rzeczy mówić trzeba bez ogródek: drogi chrześcijaństwa są inne. Bez wielkiej głębi i wiekowej perspektywy dróg tych ani zrozumieć, ani wytyczyć się nie da. A i o tym zapomnieć nie wolno — najwspanialsze zwycięstwa chrześcijaństwa były przecież zwycięstwami Golgoty, a symbolem jest krzyż.

Nie chcemy bynajmniej nawracać do mesjanistycznej ideologii cierpiętnictwa. Mesjanizm w duchu swym naprawdę chrześcijański miał też liczne dziwactwa w rodzaju „Polska Winkelrydem narodów“ i t. d. I wspaniałe i twórcze było zwycięstwo, które nad tym cierpiętnictwem odniósł w „Wyzwoleniu“ Stanisław Wyspiański. Pamiętamy z triumfu prawdziwego płynące słowa kolendy:

„Krzyż Pański znaczą nie przeto,
bym się na krzyż przyjmował,
lecz byś mię Panie od męki,
od męki krzyża zachował.
Byś mię zachował od tego,
Coś zasię za mnie przebył,
bym ja był Twoim wiernym,
a niewolnikiem nie był“...

Ale odrzucając ideologiczne cierpiętnictwo, nie można popadać w drugą skrajność — w materialistyczną płyciznę optymizmu J. J. Rousseau. Lecz bardziej jeszcze niż J. J. Rousseau ciąży nad nami atmosfera myślowa brutalnego, materialistycznego i egoistycznego nacjonalizmu, który jako herezja stuletna przez Stolicę Apostolską napiętnowany został

Refleksje tutaj wypowiedzane są owocem długich przemyśleń wojennych, ale wwabione zostały atmosferą owego szczególnego dnia, dnia Bożego Narodzenia.

Jest doprawdy zdumiewające, jaką głębię prawdy wypowiedzieć potrafi czasem udaty skróty artystyczny poety. Oto śpiewamy w kołędzie: „Bóg się rodzi, moc truchleje“... Jest w tym streszczenie ducha Ewangelii. „Parvulus hodie natus est“ — powtarza się refren w nocnym oficjum Bożego Narodzenia O. O. Dominikanów. Małeńki się urodził, ale moc truchleje. To jest właśnie prawda chrześcijańska.

Jest w tym prymat ducha nad materią i zasadnicze odrzucenie wszelkiej przemocy, sugestii siły materialnej. W chrześcijaństwie siłą nie siłą się zwycięża, przemoc ziemską nie inną, brutalniejszą przemocą, ale Dzieciątko w żłobie ułożone zwycięża moc i przemoc. I to zwycięstwo nie jest tylko mitem, lecz faktem, rzeczywistością.

Zwycięstwo Bożego Narodzenia zostało dokonane i w słowach wyrażonych potwierdzone, ale miało przebieg tak niespodziewany i sens tak nowy i obcy dla naszej zmaterializowanej wyobraźni, że ludzkość dotąd go uznać nie chce. Fanfary chrześcijańskiego triumfu sprwadają się do prostych słów: „ufajcie, jam zwyciężył świat“.

Zwycięstwo bardzo odległe od materialnego łamania siły siłą, od podporządkowania innych naszemu władztwu materialnemu. Zwyciężył świat znaczy tu — zwyciężył pokusy tego świata, oznacza zwycięstwo nad brutalnością, egoizmem, zachłannością, skłonnością do przemocy, użycia i wyzysku, oznacza zwycięstwo wiecznej prawdy ducha nad brutalnością materii.

Czytelniku, czy nie uważasz, że istnieje duże podobieństwo między nastawieniem do chrześcijaństwa współczesnej Europy, a poglądami starożytnego Izraela na początku ery chrześcijańskiej? Żydzi oczekiwali Mesjasza, ale posłannictwo jego rozumieli materialistycznie. Oczekiwali, że przyjdzie skruszyć potęgę wrogów Izraela, przyniesie oddawna upragnioną zemstę i położy przeciwników podnóżkiem u nóg jego, a ufunduje szczęśliwe i potężne królestwo żydowskie, jak to niedgdy uczynił był Jozue.

U nas też są bardzo mocne tendencje utylitarnego i odpłatnego ustosunkowania się do chrześcijaństwa. Od Opatrzno-

ści oczekujemy zwycięstwa naszej sprawy, powodzenia planów politycznych, ekonomicznych, militarnych i każde niespełnienie się tych nadziei prowadzi do depresji moralnej. Chrześcijaństwo ma stanowić pobożną dekorację naszych konstrukcyj politycznych i gdzie trzeba narzędzie osiągania tych celów. Słowa „moc truchleje“ cytujemy z rozkoszą, rozumiejąc pod nimi moc naszych przeciwników, która ma się w proch rozsypać, robiąc miejsce na naszą potęgę.

Są to tragiczne pomyłki, jak ongiś w Izraelu.

I jakaż ironia dziejowa. Został wszak nazwany królem żydowskim. Nadpis „król żydowski“ został umieszczony, ale na krzyżu. Nie obeszło się i bez korony, ale była to korona cierniowa.

Dla żydów musiało to być straszliwe spardıowanie, skarykaturowanie ich najgorętszych marzeń.

Coś z takiego utylitarnego podejścia tkwi i we współczesnej psychice europejskiej. Straszna tragedia rozczarowania Izraelitów winna stanowić groźne memento ułatwionego i uproszczonego podchodzenia do chrześcijaństwa. Drogi chrześcijaństwa są dalekie, nieraz cierniowe i nieraz niezrozumiałe. Łatwe asymilowanie dla wypracowanych przez nas koncepcji musi się skończyć gorzkim rozczarowaniem. Lecz czy nie jest wtedy przesadą wołanie o klęskę?

Jest ciekawa książka Rabindhranata Tagore o nacjonalizmie. Tagore przykłada kryterium idealnego obrazu Ewangelii do rzeczywistości europejskiej. Krytyka jest druzgocąca. Wedle Tagorego Europa dawno przestała służyć Bogu i przestała być chrześcijańską. Dziś panuje w niej bałwochwalstwo, bożkiem, którego się czci, jest nacjonalizm. Pierwsze przykazanie jest pogwałcone, każdy naród czci bożka własnego nacjonalizmu.

Tagore upraszcza nieco sprawę, widząc w nacjonalizmie tylko egoizm narodowy i identyfikując z nim nacjonalizm, a pomijając stronę organiczno-kulturalną nacjonalizmu. Ale nie zmienia to zasadniczej tezy, że naprawdę egoizm narodowy zajmuje faktycznie miejsce pierwsze przed Bogiem. Bo nie mówimy tu o pozorach, o symbolice i dekoracji, ale o kryteriach rzeczywistych, tak, jak się one w życiu konkretyzują.

I to bałwochwalstwo narodowe zaciemnia nam sens prawdziwy pojęcia zwycię-

stwa. Zwycięstwo rozumiemy często zewnętrznie, materialnie, jako triumf siły naszej nad siłą obcą i podporządkowanie nam innych społeczeństw. Materialistyczne nałogi myślowe zasłaniają nam inny głębszy sens zwycięstwa, odpowiednik owego ewangelicznego „jam zwyciężył świat“...

A słowa te mają swój głęboki sens także i w życiu narodów. W życiu narodów, tak samo jak w życiu indywidualnym obowiązuje też nakaz doskonalenia się i przewycięzania się. Zwycięstwem jest też zwycięstwo nad sobą, zwycięstwo nad tendencjami do brutalizmu, do zachłanności, do kultu siły i przemocy na własnym narodzie. Otóż ten drugi chrześcijański sens wielkiego słowa „zwycięstwo“ nie jest wogóle brany pod uwagę. Oczywiście, uwagi tu wypowiedziane można łatwo sprowadzić do absurdu. Oczywiście, że walka, a czasem wojna jest koniecznością w obronie substancji narodowej lub w obronie najcenniejszego z dóbr: wolności. Oczywiście, że ekspansja polityczna nie koniecznie musi zasługiwać na ujemną ocenę. Ale napewno nie da się ustalić związek zależności wprost proporcjonalnej między prawdziwym postępem narodu i jego potęgą polityczną. Czasem rozrost potęg politycznej jest zarodkiem klęski. Tak właśnie było z Niemcami.

I dlatego jest zrozumiałe, że człowiek tak szlachetny i wielki patriota, jak Foerster, modlił się w poprzedniej i ostatniej wojnie o klęskę swego narodu. Foerster rozumiał, że klęska militarna Niemiec jest warunkiem ożrodzenia narodu, warunkiem wydobycia się z niewoli straszliwej psychozy nrusactwa, narzuconej Niemcom od końca XVIII wieku. I chyba dla stanowiska tego znajdziemy tylko słowa uznania, bo „klęska“ nie zawsze jest klęską, a „zwycięstwo“ nie zawsze zwycięstwem.

Bogu dzięki, Polska nie znalazła się w tej sytuacji, co Niemcy. Jesteśmy w pozycji lepszej od wielu narodów, mamy wiarę i żywe tradycje chrześcijańskie, ale i u nas bałwochwalstwo egoizmu narodowego poczyniło duże postępy.

We właściwym czasie trzeba będzie wydobyc na jaw pewne bolesne fakty ostatniego pięciolecia, fakty wynikłe na tle rozpanoszenia się psychozy hitlerowskiej w narodzie polskim.

Możemy na szczęście nawiązać do wspaniałych, nawskroś chrześcijańskich kart historii polskiej, że wymienimy tylko: Mickiewicza, Cieszkowskiego, Norwida, Hoene-Wronskiego, z nowych Artura Górskiego lub Oskara Haleckiego. Ale w okresie międzywojennym spadaliśmy zastraszająco w dół.

Nadszedł czas wielkiej rewizji, wielkiego rachunku sumienia. Cierpienia ostatnich lat byłyby zmarnowane, gdybyśmy się nie mieli zdobyć na oczyszczenie kultury polskiej w duchu prawdziwego chrześcijaństwa.

W Paryżu, u wejścia do muzeum Louvr'u, widzimy sławną rzeźbę Nikke z Samotraki. Jest to jedno z tych szczególnych, wyjątkowych arcydzieł świata, gdzie artyzm formy przewyciężył ciężar materii. Potężna bryła marmuru zda się unosić w powietrzu, zdajemy się słyszeć szum skrzydeł w locie.

I w tym przewycięzeniu ciężaru materii Nikke staje się symbolem prawdziwego zwycięstwa w sensie chrześcijańskim. Zwycięstwo przez przewycięzenie się.

Marjan Jedlicz

Stanisław Ziembicki

Malowana modlitwa

Jak dzieciątka i kwiaty do okien,
tak ja rosnę zielony do Ciebie,
listki dłoni Ci składam szeroko,
Któryś jest na obrazku jak w niebie.

Nie wiem, czy poszedłeś na wojnę,
czy w pokoju zostałeś jak głos,
czy jak sprzęt nieruchomo dostojny,
lub jak matka, gdy znajdzie
bielusiętki włos.

Bo o bólu Twoim nic nie wiem,
tylko tamten wciąż nosisz na rękach
brwi nie masz gotyckich jak w gniewie
ani cherub na ścianach nie klęka.

W malowanym niebie bez łun
taki byłeś jak światło na fresku,
gdy piosenki — ptaszkiwie ze strun,
szły, jak dzieci ubrane niebiesko.

Taki jesteś, gdy idą przy lufach
oduczeni miłości bliźniego,
ziemi trochę podnoszą na ustach,
mutek wielki jak niebo.

Taki jesteś przezroczysty jak wiatr,
a w gruzełkach farb śliczny,
aki jesteś jak ptak i kwiat,
co ma ziemię bez słupów granicznych!

Taki jesteś jak pęd co kwitnie,
w pokoju na oknie i w wojnie —
jednakowy — gałązką modlitwy
spadający w dłonie.

Więc o bólu Twoim nic nie wiem,
tylko wiem, gdy wyznają go Tobie,
Któryś jest na obrazku jak w niebie.
że się już nie odwrócisz odemnie,
ani do mnie...

Warszawa, marzec 1944.

Stefan Polanica

ODWET CZY KARA

Każde zagadnienie należy dziś i trzeba rozpatrywać na dwu płaszczyznach: materialnej i moralnej. I pod dwoma aspektami: doraźnego utylitarysty i działającego na dłuższą metę imponderabiliów. Dlatego nie przestrzeganie tych zasad musi wprowadzać chaos pojęciowy i spustoszenie moralne.

Uwagi te nasuwają się w związku z toczącym się w Norymberdze procesem przeciw głównym niemieckim zbrodniarzom wojennym. Ten punkt wyjściowy spowoduje może w dalszych naszych rozważaniach pewne niebezpieczne sugestie i być może utrudni wyświetlenie ujętego w tytule zagadnienia, jest jednak konieczny dla mocnego ustawienia z naszej strony pewnych spraw w sposób zdecydowany i zasadniczy.

Wydawałoby się, że sprawa „odwet czy kara“ czy jej wariant uczuciowy: „zemsta czy kara“ — została już w opinii polskiej przesądzona. I to została przez sądzoną w sensie właśnie uczuciowym. Wydaje się, że oficjalna propaganda polska poszła po linii najmniejszego oporu i upraszczając sobie ten problem, a przez to zaciemniając go, podeszła do niego tylko od strony materialnej, zapoznając całkowicie moralną jego stronę. Dlatego trzeba zadać sobie trudu poddania gruntownej rewizji tej sprawy i naprawienia tego, co da się jeszcze naprawić.

Toczy się więc w Norymberdze proces. Niejeden z polskich czytelników, czytając codzienne sprawozdania z tego procesu, pyta z oburzeniem: po co cała ta zawiła procedura, po co sąd? Powiesić ich wszystkich odrazu bez żadnego sądu. Po co prokurator? Jak mizernie i blade wypadają te wszystkie prawnicze mądrości oskarżycieli wobec tych dziesiątków milionów cieniów, rzucających z za grobu straszne oskarżenie.

Pytania zrozumiałe i słuszne, jeśli chodzi o materialną stronę tego zagadnienia. Ale chodzi o rzecz znacznie ważniejszą: o imponderabilia procesu. Chodzi o wydzwignięcia wobec całego świata na właściwy piedestał pojęcia sprawiedliwości, tak sponiewieranej i podeptanej przez tych, którzy dziś mają dostąpić łaski sprawiedliwości zjednoczonych wolnych narodów.

Dla znalezienia właściwej drogi i uplastycznienia omawianego zagadnienia cofnijmy się do czasów okupacji niemieckiej. Z jednej strony klimat uczuciowy, z drugiej elementarne prawo każdego człowieka do samoobrony, a wreszcie spustoszenie moralne i upłynienia oraz pomieszanie pewnych zasadniczych, dawno ustalonych pojęć i praw, regulujących sprawy międzyludzkie, stanowiły podatny grunt dla wypaczenia omawianego przez nas zagadnienia. I właśnie, wbrew temu wszystkiemu, zagadnienie odwetu i zagadnienie sprawiedliwości, a precyzując ściślej: zagadnienie odwetu i zagadnienie kary — były kamieniami probierczymi moralności obu stron. Skoro się zważy, że pojęcie odwetu posiada uczuciowo specjalnie obciążoną hipotekę, narosła właśnie w ciągu sześciu lat okupacji, to przyjmowanie dziś najgorszej spuścizny tych, którzy wszelką moralność podeptali, jest przynajmniej niepokojące. Pamiętamy dobrze to słowo „odwet“, które — urągając najelementarniejszemu poczuciu sprawiedliwości — wyzierało brutalnie i cynicznie z każdej nowej listy rozstrzelanych przez Niemców niewinnie ofiar. Słowo to do dziś jeszcze woła z upiornych kominów i zgłiszcz Warszawy, woła popiołami wypalonych wsi polskich, woła milionami bezkrzyżych grobów rozsianych po całej Polsce. To był właśnie odwet.

Sprawiedliwość Podziemnej Polski nie znała odwetu. Znała tylko pojęcie kary. Kary za niemieckie zbrodnie. W prasie podziemnej ogłaszane były stałe wyroki indywidualne na różnych katów niemieckich, wydane przez polskie sądy podziemne, oczywiście z zrozumiałych względów — dopiero po ich wykonaniu. I tu zajaśniała w całym swym blasku moralność polskiego narodu, kształtująca się od wieków i ugruntowana na moralności

Kościółu Katolickiego, który nie zna ani pojęcia odwetu ani pojęcia zemsty, ale zna pojęcie sprawiedliwości i pojęcie sprawiedliwej i zasłużonej kary.

Wydaje się, że świat powojenny, skrwacony szesćdziesięcioletnimi ciężkimi zmagania-

mi z tymi, którzy chcieli na zawsze wykreślić moralność i sprawiedliwość na ziemi, pójdzie po drodze, którą od wieków wskazuje Kościół.

I znowu, przy tym optymistycznym założeniu, niezbędne i istotne zastrzeże-

nie: materialny wykładnik sprawiedliwości, jak każdy materialny wykładnik każdej idei, będzie zawsze, a napewno długo jeszcze tylko niedoskonałym jej sprawdzianem, bo niedoskonałymi są ludzie, którzy tę sprawiedliwość realizują. A jeśli przy tym ta przyrodzona niedoskonałość obwarowana jest innymi przesłankami, jeśli ideę sprawiedliwości wprzęga się w służbę indywidualnych czy zespołowych interesów ludzkich, wówczas rzecz jasna oddalamy się coraz bardziej od ideału, czego końcowym procesem może być całkowite zaprzeczenie sprawiedliwości, z której pozostanie tylko forma, maskująca krancową treść. Mówimy wtedy o niesprawiedliwości. Mówimy tak, bo tak to odczuwamy, bo ideał sprawiedliwości w sobie nosimy.

Czy proces w Norymberdze, którego wynikiem będzie wymierzenie kary głównym niemieckim zbrodniarzom wojennym, wydzwignie na właściwy piedestał sprawiedliwość? Pytanie to jest równie niebezpieczne, jak niewłaściwe. Bo znowu będziemy mieli mniej czy bardziej doskonały lub niedoskonały materialny wykładnik sprawiedliwości. Nawet dziesięć tysięcy takich procesów nie pozwoli na zasłużony wymiar kary niemieckim przestępcom i nie da pełnej satysfakcji podeptanej w ciągu sześciu lat w Europie sprawiedliwości. Bo nawet przy najsurowszym wymiarze kary dla wszystkich oskarżonych, ukaranoby dopiero 240 tysięcy zbrodniarzy niemieckich. Dlatego trybunał sądzący zjednoczonych narodów poszedł po innej drodze: karając głównych zbrodniarzy niemieckich karze w nich symbolicznie cały naród niemiecki.

Taka symbolika musi oczywiście do czegoś zobowiązywać i pociągać realne następstwa. Teza polska głosi, że za niemieckie zbrodnie odpowiedzialny jest cały naród niemiecki. Odpowiedzialność zbiorowa? Odwet? Nie. Ta teza zbudowana została nie tylko na przesłankach uczuciowych. Zbudowała ją codzienna sześćdziesięcioletnia obserwacja. Nie jest najważniejszy argument, że 60-milionowy naród musi ponosić konsekwencje polityki swych szalonych i zbrodniczych przywódców, skoro dał im pełnię władzy i poparł ich całkowicie. Nie jest najważniejszy czysto egoistyczny — a z punktu widzenia samoobrony narodu i zabezpieczenia przed ponownym zniszczeniem swej substancji biologicznej — moment prewencji. Najważniejszy i decydujący jest w polskim oskarżeniu moment obserwacji i rejestracji. Myśmy codziennie przeżywali i widzieli indywidualne zbrodnie popełniane przez poszczególnych Niemców. Takie czy inne mechaniczne momenty ich działania, pochodzące z zewnątrz, w bardzo małym tylko stopniu mogły wpłynąć na wymiar kary, nie mogły ich jednak zwolnić od samej odpowiedzialności. I tu chodzi o rzecz dużej dla nas wagi, o sprawę doniosłą: uratowanie w nas pojęcia sprawiedliwości i jego materialnego wykładnika — wymiaru kary. Nie wolno nam, pod grozą zdżyczenia moralnego i zupełnego chaosu pojęciowego, utżsamiać tego ani z odwetem ani z zemstą. Bo wówczas łatwo moglibyśmy przerzucić tak pomieszane i zniekształcone pojęcie z płaszczyzny międzynarodowej na płaszczyznę czysto wewnętrzną, z płaszczyzny zbiorowej na płaszczyznę indywidualną.

I wreszcie: nie kształtujmy i gruntujmy naszego poczucia sprawiedliwości na takich czy innych wyrokach międzynarodowych trybunałów. Jakiegokolwiek by one były, spełniają też w pewnym sensie swą rolę w służbie sprawiedliwości, ugruntowując w zdemoralizowanym i zmaterializowanym, częściowo zdżyczałym moralnie powojennym świecie prawniczą i legalność — przez mocne stawianie formalnej strony sprawiedliwości. A już tylko od nas samych zależy, by w nas i u nas sprawiedliwość ta, zarówno na płaszczyźnie moralnej, jak i materialnej w swej realizacji sięgała jak najbliżej ideału, wykluczając w swym materialnym wykładniku pojęcie zemsty i odwetu, a uznając jedynie pojęcie winy kary.

Tadeusz Gajcy (Karol Toporowski)

SCHODZĄC

Mówię: powietrza mszał
niech się odemknie jak róża
lub ręka trwożna —
Nitka świecąca w marmurze
zakwita cierniem i żal
pali się skąpo w niebiosach.

Wejść. Gwiazdzisty lichtarz
dnieje proroczno w głębi,
gwoździ czerwonych kilka
i kość złamana nad nimi,
dno tu jest, albo światła
skupiona, ciernia glina,
co kwiatem gład przygniata
i noc piorunem przeklina

Mówię: królestwo moje
z barw licznych i dłoni dwu.
Skowronek błyska jak płomień
zwiś jak śpiewny sznur,
ale jest czas miłości
i ciemność gra jak hejnał,
by ciałem oraz głosem
wyrastać z zapomnienia.

Powiedzą: smutny kraj
i trumną głowie twarda,
bo jakaż miłość jest
co ziarno daje puste
Lecz grom powszedni gra
jak fletnia mi przy wargach
jest jak bolesny uśmiech,
iośnia czarny cień

WSTECZ

Nad tych kwiatów wysokich sierścią
grom cieniutki, a jednak stuka
i w widnokrąg jak w strzechę lub w pierścień
wpływa zwięzły jak chłodna jaskółka.
Rąk złożonych wygąsło już gniazdo
odkąd sercem zmarszczonym czekam
pod tym gromem jak wieża lub klasztor,
na tych kwiatkach jak ciemna kolebka.

Tak być musi, tak będzie do kresu.
Znów potoczę przed sobą dźwięk,
ale łuny cielistej brzeszczot,
mowę broni przypomni mi sen...
I nad walki skupionej tęczę,
w drzew kolumnach i wodzie czarnej
echo małą żelazną piosenką
w młodość wróci po zrudziały laur.

Jaki ton unieść mocno, by ślad
wołań tamtych pozostał pusty.
Pod obłoków jaskrawych wypłuskiem
grm pogodny opada jak kwiat
i nad słowem mierzonym męsko,
w którym dym szeleszczący ostygł
— tak być musi — oznajmia — do kresu
twego żalu i śmiesznej miłości.

Nigdy dalej niż jawa i sen.
Nigdy więcej. Nad kwiatów orszakiem
rozchylonych płomieniem trojakim
stoję czujny. Ptaka płynny cień
wprost weselny — wita słowo pierwsze,
gdy wpatrzony w malejący pocisk
snu zbrojnego — unoszę jak serce
chmurny pejzaż upartej młodości.

Jerzy Makowicz

Reforma szkolna a wieś

Wysunięty na Zjeździe łódzkim projekt reformy szkolnictwa, jest niewątpliwie dużym przyczynkiem do badań nad organizacją naszego szkolnictwa i dowodzi, że nad sprawami tymi nie przechodzi się do porządku dziennego.

Otóż w myśl tego projektu, ma powstać zasadnicza szkoła powszechna 5-letnia, obejmująca młodzież w wieku od lat 6 do 11. Nadbudową ma być trzy letnia szkoła średnio-niższa na poziomie obecnego gimnazjum, o typie szkoły ogólnokształcącej. Dalszym ciągiem kształcenia mają być licea fachowe trzyletnie, uprawniające do wstępu na studia uniwersyteckie.

Jest to daleko idące przyspieszenie i skrócenie nauki, bo młodzież mając lat 17, miałaby poza sobą egzamin dojrzałości, a w 20 — 21 roku życia kończyłaby studia wyższe.

Opracowany projekt dowodzi, że na uwadze miano przede wszystkim interesy młodzieży, pragnąc wprowadzić ją w życie społeczne jak najwcześniej. Jednak stwierdzić należy, że opracowywany był przede wszystkim z myślą o młodzieży miejskiej, bez brania pod uwagę interesu wsi i młodzieży wiejskiej, a interesu rolnika przede wszystkim.

Obserwując młodzież miejską i wiejską, dojdziemy do wniosku, że w rozwoju psychicznym dziecka miejskiego a wiejskiego, w wieku od lat 6 do 14, jest olbrzymia różnica.

Dziecko miejskie żyje przyspieszonym rytmem otoczenia, wynikającym z warunków gospodarczych i społecznych. Siłą rzeczy jest więc od lat najwcześniejszych bezpośrednim świadkiem, tak zw. walki o byt. Myśli jego przez charakterystyczne ułożenie się warunków gospodarczych i rodzinnych, nie są zaprzęgnięte szeregiem zagadnień natury gospodarczej a pozasobistej, ale są skierowane wyłącznie na pracę nad sobą. Toteż ma czas prawie wyłącznie do własnej dyspozycji. Zatem rozwój psychiczny i intelektualny u tego dziecka, postępuje stosunkowo szybko i dojrzałość fizyczna przychodzi mniej więcej już w wieku około lat czterech. Poczynam w ciągu dwu do trzech lat, następuje krystalizowanie się osobowości młodego człowieka, tak, że w wieku lat siedemnaście dziecko to jest mniej więcej zdolne do samodzielnej działalności i myślenia.

Inaczej jednak sprawa przedstawia się na wsi.

Tempo życia gromadzkiego jest, w przeciwieństwie do miasta, bardzo wolne. Czas bowiem w skupisku wiejskim i w pracy rolniczej nie odgrywa tak olbrzymiej roli jak w mieście i zwykle na wet w zorganizowanym najlepiej na zasadach nowoczesnej gospodarki warsztacie rolnym, czas jest sprawą mniejszej wagi.

Warunki gospodarcze na wsi wymagają od dziecka wdrażania się do pracy fizycznej w gospodarstwie domowym, podwózkowym, czy nawet rolnym, od lat najwcześniejszych, a więc już nawet od 4 roku życia. Uwaga jego i myśli dzięki temu są skierowane w pierwszym rzędzie na pracę fizyczną, którą jest obowiązkowo wykonywać stale, a której zakres i ciężar wzrasta w miarę dorastania. To też dziecko wiejskie nie jest w stanie rozwijać się tak szybko jak miejskie i okres dojrzenia fizycznego na ogół u młodzieży wiejskiej przychodzi później 1 i pół do 2 lat, niż u dzieci w mieście, a więc w wieku lat 15—16, a z nim i rozwój psychiczny. Także krystalizacja osobowości następuje później, bo dopiero w wieku 17 — 18 lat. Taki stan rzeczy powoduje więc częste narzekanie nauczycielstwa na tępotę młodzieży wiejskiej, gdy tymczasem nie jest to nic innego, jak tylko przesunięcie się rozwoju psychicznego dziecka wiejskiego na okres późniejszy, przy czym przy kształtowaniu umysłowości jest potrzebny z jego strony większy wkład w pracę umysłową, w tym wypadku naukę.

Jest wiadomym, że nauka w szkole średniej — gimnazjum dzisiejszego typu — wymaga pewnego stopnia rozbudzenia intelektualnego, umiejętności samodzielnej myślenia i snucia wniosków, a następnie bezpośredniego stosunku budzą-

cego zainteresowanie ucznia do przedmiotu. To oczywiście przychodzi w miarę dojrzenia fizycznego i psychicznego młodzieży.

Z powyższych powodów szereg szkół stawia jako warunek przyjęcia dolną granicę wieku, lat 17 (uniwersytety ludowe, wszystkie przedwojenne szkoły rolnicze w Polsce i Zagranicą), bo dopiero w tym wieku, zwłaszcza gdy materia jest tak skondensowana jak w tych szkołach, dziecko jest predysponowane do należytego przyswojenia materiału programowego.

Stąd też wniosek, że każda szkoła o poziomie dzisiejszego gimnazjum, zwłaszcza na wsi, musi postawić jako warunek przyjęcia dolną granicę wieku 13 — 14 lat. Zaś nie może wypuścić ucznia wcześniej, jak w 17 roku życia, a więc objąć młodzież przynajmniej czteroletnim okresem nauczania. Wówczas tylko szkoła ta da społeczeństwu pełną gwarancję, że ze swoich murów wypuści wychowanków z pewnym minimalnym zasobem wiedzy, przyswojonym nie tylko mechanicznie ale i logicznie.

A trzeba się liczyć z tym, że 8 letnia szkoła traktująca ostatnie 3 lata jako dziesięcioletnie gimnazjum, będzie upoważniała wychowanków do szeregu pretensji, a między innymi do samodzielności i odpowiedzialności. Niestety na wsi będzie ona tylko przedłużeniem szkoły powszechnej

i pożądanego poziomu nigdy nie osiągnie, bo dziecko wychodząc ze szkoły ośmioletniej, czyli gimnazjum, będzie miało lat czternaście, a więc będzie jeszcze tylko dzieckiem.

Jeśli chodzi natomiast o szkołę licealną w projektowanym systemie, to niewątpliwie potrafi ona osiągnąć zaledwie poziom obecnego gimnazjum. Oczywiście przy typie szkół zawodowych, będących zakończeniem kształcenia, nie odegra to zbyt dużej roli. Jednak w liceach ogólnokształcących, będzie ten stan rzeczy poważną tragedią naszego szkolnictwa, nie mówiąc już o uniwersytetach, które otrzymują element do studiów wyższych zupełnie nie przygotowany.

To jedna strona zagadnienia. Popatrzmy teraz z drugiej: W rolnictwie potrzebne są nam trzy rodzaje fachowców, co zresztą kształtuje się i w innych zawodach:

- 1) Samodzielnych gospodarzy rolników,
- 2) Instruktorów i specjalistów,
- 3) Naukowców.

Przeciętnemu rolnikowi, samodzielnemu gospodarzowi, potrzebne jest teoretyczne i praktyczne podstawowe przygotowanie do zawodu rolniczego i pewien odpowiednio podany szeroki zasób wiedzy ogólnej, rozszerzającej jego horyzonty intelektualne i społeczne.

Instruktorowi, fachowcowi poza podstawową wiedzą ogólną, dającą mu warunki rozwoju intelektualnego i przygotowanie do życia społecznego, oraz koniecznym zasobem wiedzy ogólnorolniczej na poziomie przeciętnego rolnika gospodarzącego samodzielnie, potrzebna jest wiedza fachowa w jego fachowej dziedzinie, a więc czy to hodowli, pszczelarstwie, łaskarstwie itd.

Natomiast naukowcom potrzeba poza tymi dwoma stopniami wiedzy, jeszcze trzeciego, predysponującego ich do naukowych badań w zakresie obranej specjalności.

Podstawowe wiadomości z zakresu wiedzy rolniczej, może dać niewątpliwie szkoła gimnazjalna, pod warunkiem jednak, że obejmie młodzież przynajmniej w wieku lat 14 — 17, której podbudową programową będzie dobra szkoła powszechna 6 klasowa, zatym zaczynająca naukę w 7, a nie 5 roku życia.

Aby dać uczniowi przygotowanie do spełnienia swych obowiązków zawodowych i społecznych, oraz zasób wiedzy ogólnej, szkoła musi objąć młodzież przy najmniej opieką czteroletnią, gdyż nie będzie inaczej w stanie ani wyczerpać materiału naukowego, ani też wyrobić wychowanków społecznie i intelektualnie. I nie może wypisać ze swych murów szkolnych młodzieży wcześniej, dopóki nie nastąpi jakieś takie skryształizowanie się osobowości chłopca czy dziewczyny, dopóki ona czy on, nie dojrzeje do samodzielnej pracy nad sobą i w społeczeństwie.

Z nabytym zasobem wiedzy podstawowej, młody człowiek wchodząc w życie, stanie się niewątpliwie wartościową jednostką, zdolną do wykonania swych zadań.

Instruktor natomiast, względnie fachowiec, pragnąc prowadzić swój warsztat w danej specjalności, jako warsztat przemysłowy, być kierownikiem lub instruktorem powiatowym, potrzebuje gruntownego przygotowania do fachu w oparciu o wiedzę podstawową. To gruntowne przygotowanie da mu szkoła licealna, w zależności od zakresu dziedziny 2—3 lub 4 letnia. Do kształcenia fachowego, trzeba już i przygotowania podstawowego i dojrzałości, która patrzy na zagadnienie nie tylko jako na przedmiot, który trzeba „wykuć” jako rzecz zadaną, ale podchodzi do niego z zainteresowaniem i umysłem predysponowanym do myślenia i wnioskowania.

Stopień naukowy uniwersytecki ma zapoznać wychowankę z teoriami naukowymi, badaniami itp., które rzucą mu światło na metodykę badań, ponadto dadzą mu szerokie podstawy ekonomiczne, organizacyjne itd., a więc także przygotowanie, które upoważni go i przygotowuje do zajmowania najwyższych stanowisk w hierarchii zawodowej rolnictwa.

Ktośby zarzucił: poco aż trzech stopni nauczania rolnictwa, kiedy wystarczał stopień uniwersytecki lub niższy? Tak, ale niegdyś krakowski uniwersytet przyjmował też pauprów po szkołach parafialnych a dziś wymaga się 12 letniego przygotowania.

Zapominamy ciągle o tym, że wiedza rolnicza to nie jest tylko znajomość orki, siewby i zbiórki, ale olbrzymia dziedzina wiedzy. Dla umiejętności sztuki rolniczej potrzeba znajomości szeregu gałęzi wiedzy, o takiej rozległości jak: chemia, fizyka, matematyka, gleboznawstwo, anatomia, fizjologia zwierząt, hodowla ogólna i szczegółowa, botanika i fizjologia roślin, uprawa gólna i szczegółowa, poza tym: księgowość, ekonomia, organizacja zbytu i szereg innych przygotowujących rolnika do zawodu, naświetlających właściwe zagadnienie z rozmaitych stron nauki.

Toteż rolnictwa nie można uczyć dzieci i nie można przeskoczyć pewnych stopni wiedzy, bo będzie rezultat taki, że będziemy mieć nadmiar pewnych kategorii fachowców, a brak innych.

Przed wojną istniały właściwie 2 kategorie szkół rolniczych: albo niższe jednoroczne szkoły przysposobienia rolniczego, albo wyższe szkoły uniwersyteckie. Brak było szkół średnich, co — zwłaszcza, fatalnie miało się na rok 1914 — 1915

Listy od Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze.
W Nr 4 „Dziś i Jutro“ ukazał się artykuł p. Jerzego Chram-Piórkowskiego pod tytułem „Kutschera“.

Nie jestem powołany do badania ścisłości faktów podanych w barwnym i z dużą dozą poetyckiego zacięcia napisanym artykule, aczkolwiek odbiega on znacznie od opisów zamachu na Kutschera, podawanych zaraz po fakcie przez prasę podziemną, oraz relacji biorących udział w akcji świadków. Jestem natomiast zmuszony jako ówczesny komendant Szpitala Maltańskiego, zaprotestować przeciw licentia poetica, którą p. Chram-Piórkowski pozwolił sobie użyć w stosunku do Szpitala Maltańskiego, — jest ona bowiem krzywdząca tak dla dobrej sławy instytucji, którą miałem zaszczyt kierować, jak dla odwagi i poświęcenia personelu Szpitala.

Opisując epilog zamachu na Kutschere p. Chram-Piórkowski podaje, iż ranni Lot (przestrzał jamy brzusznej i wątroby), Olbrzymek (w płuco), Cichy (w brzuch) i Miś (w głowę) oraz zdrowi Juno i Sokół odjechali samochodem z Alei Ujazdowskich. Tu cytuję Autora dosłownie: „...do „Opla“ wczolguje się Olbrzymek, Cichy i Miś, oraz Juno cudem nietknięty. Przy szoferze Lot z kulą w żołądku i w wątrobie. Motory wyją. Z tyłu gonią ich kule. Bezsilne. I teraz rozpoczyna się wielki i ostatni bieg „Opla Kapitana“, 4-ch ciężko rannych, Sokoła i Junę Pierwszy etap — Szpital Maltański. Lota i Cichego nie chcą przyjąć. Tłumaczą się, iż nie są przygotowani na przyjęcie z postrzałami brzucha. Z za odmowy wзира STRACH...“.

Zadaniem Szpitala Maltańskiego w czasie okupacji było udzielanie pomocy chirurgicznej i lekarskiej oraz zabezpieczenie rannych „nielegalnych“. W okresie 5 lat paręset rannych z akcji przeszło przez Szpital. O tym, że szkuje się jakaś poważniejsza robota, byłem uprzednio powiadomiony. Miś i Olbrzymek zostali przyjęci natychmiast i natychmiast operowani. Co wcale z reportażu p. Chram-Piórkowskiego nie wynika. Operował dr. Wacław Żebrowski. Po kilku dniach jeden z nich zmarł. Został pochowany na Powązkach. Dzięki lekkomyślności i wściepleni w komórce, która zajmowała się grzebaniem nielegalnych zmarłych, Gestapo wpadło na ślad. Dr. Że-

browski został aresztowany. Na Szucha pokazano mu fotografie ran i roentgeny, sporządzone z ekshumowanego trupa. Dzięki fenomenalnie szczęśliwemu zbiegowi okoliczności udało się dr. Żebrowskiemu wyostać z Pawiaka. Dr. Żebrowski żyje. Jest chirurgiem w Szpitalu Powiatowym w Głowniu. Sądzę, że żyje również poza ślonymi: cmfwyp ppn również pozostały ranny. Miło by mi było, aby i On zabrał głos w tej sprawie.

Łatwo jest rzucić komuś w twarz najbardziej dla Polaka krzywdzącą obelgę: TCHÓRZ! Dlaczego p. Chram-Piórkowski uważa, że przyjęcie 4-ch rannych zamachowców nie byłoby tchórzostwem, a przyjęcie 2-ch rannych jest tchórzostwem? Ryzyko i odpowiedzialność były przecież te same. Ze dr. Żebrowski żyje, to tylko dlatego, że w Księdze jego Przeznaczenia było napisane, iż nie sążone mu jest zginąć z ręki Gestapo.

Dlaczego nie zostali przyjęci wszyscy 4-ej ranni? Dla dwóch przyczyn: 1) dwóch rannych można było przemieścić bez zwrócenia na nich uwagi władz niemieckich, — 4-ch było niemożliwością; 2) niemożliwością również ze względów czysto technicznych było w stosunkowo niewielkim Szpitalu jak Maltański, jednocześnie operować 4-ch ciężko rannych, wymagających natychmiastowej pomocy. A przecież każdemu nawet laikowi jest wiadomo, że postrzały jamy brzusznej wymagają bezwzględnego zabiegu chirurgicznego. Gdyby nie tragiczne w drodze powrotnej spotkanie Sokoła i Juny na moście Poniatowskiego z niemiecką kolumną samochodową, nigdyby Gestapo nie odkryło, że w Szpitalu Przemienienia Pańskiego znajdują się ranni zamachowcy. Tak, jak nie dowiedziało się o rannych w Maltańskim.

Winszując p. Jerzemu Chram-Piórkowskiemu ciekawego artykułu i życząc dalszego powodzenia na niwie literackiej, muszę Mu dać jednak jedną radę: mianowicie nie posługiwać się niedomówieniami, ani nie szafować może efektywną, ale niezastudzoną i uwłaczającą insynuacją. Traci bowiem na tym wartość całości opisu, który przecież powinien stanowić cenny przyczynek dla historii walki z najeźdźcą.

Proszę przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy mego szacunku i poważania.

Stanisław Milewski-Lipkowski

Ś. P. Marian Grzegorzczak

Dnia 24 grudnia zmarł członek Komitetu Redakcyjnego „Tygodnika Warszawskiego“ — Marian Grzegorzczak. Strata wybitnego publicysty katolickiego wywołuje głęboki żal wszystkich, którzy w

pracy katolickiej widzą podstawy odrodzenia Polski. Redakcji „Tygodnika Warszawskiego“ składamy szczerze wyrazy współczucia.

zakresie oświaty rolniczej. Inżynierów rolników jest za mało, by obsadzić nimi wszelkie dziedziny życia rolniczego i każdy z nich ma słuszne pretensje do tego, by zyskać stanowisko kierownicze. A do szkół rolniczych nie ma nauczycieli, i rezultat: 95% nauczycielstwa szkół rolniczych rekrutuje się, albo ze wszystkich innych zawodów poza rolnictwem, albo też z rolników z jednorocznymi szkołami rolniczymi, których nawiasem mówiąc także jest brak. Niema nauczycieli do szkół rolniczych i niema kierowników przedsiębiorstw rolniczych, techników, instruktorów rolnictwa.

Życie więc samo woła o różniczkowanie typów szkół rolniczych i racjonalne ich rozplanowanie.

A teraz spojrzmy na trzecią stronę zagadnienia: na możliwości organizacyjne projektowanego typu 11 letniego.

Półowa szkół powszechnych w Polsce, obecnie pozostaje bez nauczycielstwa. Szkoły średnie, gimnazja i licea, posługują się wykładowcami pracowników samorządu i innych urzędów. Nie mówiąc o wszystkich szkołach rolniczych. Taki stan rzeczy istnieje dziś, gdy 80% szkół powszechnych jest I stopnia, gdy szkolnictwo zawodowe w 99% jest zorganizowane na poziomie niższo-średnim. A co będzie, gdy nastąpi realizacja projektu?

Oczywiście, całe szkolnictwo zawodowe przejdzie na stopień licealny i tu wiele się nie zmieni. Będzie taki sam brak sił, jak obecnie, który może po kilku latach uda się uzupełnić.

Ala kadre nauczycielstwa szkół powszechnych i gimnazjalnych trzeba będzie w stosunku do dzisiejszego zwielokrotnić przynajmniej 4-krotnie.

Skąd wziąć te siły, gdy dziś jest tragicznym faktem dla naszego szkolnictwa masowa ucieczka od stanu nauczycielskiego do wszystkich innych zawodów?

Reasumując rozważanie powyższe, stwierdzić należy, że rzucony projekt reformy szkolnictwa, wogóle nie wniesie nowych przyczynków w rozwój kultury polskiej i nie podniesie poziomu ogólnego. Raczej stanie się przysłowiowym gwoździem do trumny tego poziomu, będzie równaniem w dół. A więc najgorszym, co może się stać i to w czasach, gdy właśnie przeciwnie należy obostrzać warunki i żądać coraz do wyższych kwalifikacji we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Reforma jędrzejewiczowska była niewątpliwie złą, ale przynajmniej była oparta i wydedukowana z praw pedagogiki eksperymentalnej, i w niej ma swe naukowe uzasadnienie. Pozwala na właściwe stopniowanie typów szkolnictwa i odpowiednie ich różniczkowanie, zależnie od potrzeb społecznych.

Projekt łódzki natomiast, wzoruje się na uogólniającym systemie szkolnictwa rosyjskiego, od którego dziś Rosja powoli zaczyna uciekać, przystępując do tworzenia sieci szkół zawodowych, odpowiednio różniczkowanych.

I pamiętać należy także o tym, że nasze polskie warunki i poziom ogólny różni się zasadniczo od takiegoż poziomu w Rosji. Tam idzie i długo jeszcze iść będzie praca pionierska, którą my w większości wypadków mamy za sobą. Tam takie warunki wytworzyła gospodarka oświatowa okresu carskiego, których przełamanie wymaga olbrzymich wysiłków, gdy u nas tymczasem potrzeba tylko gruntownego pogłębienia poziomu, do czego dążyć należy obostrzeniem i poszerzeniem czasokresu nauczania, a nie skracaniem i uogólnianiem.

Reforma projektowana uderza przede wszystkim w wieś, uderza zdecydowanie w nasze życie zawodowe, a szczególnie zawodowe rolnicze. Czyż w tych warunkach jest do przyjęcia?

Jerzy Makowicz

KATECHIZM

Najtańszy i najbardziej nadający się dla młodzieży (86 str., wydanie z 1945 r., rachunek sumienia, ministrantura, różaniec — cena 10 zł.) wysyła w paczkach za pobraniem lub po wpłaceniu na P. K. O. Nr konta w Łodzi VII — 603 ks. dr. Win. Helenowski, Gostynin, woj. Warszawskie.

Wojciech Kętrzyński

Na tle powstania listopadowego

Rocznica listopadowa przyniosła ze sobą falę rozważań historycznych na łamach prasy. Przeważna ich część nie miała jednak charakteru ścisłe naukowego. Wszystkie wypowiedzi nawiązywały niemalże wyłącznie do dzisiejszych zagadnień politycznych i społecznych. Widzimy w tym zjawisku fakt dodatni. Dawniej zbyt często rozważania polityczne oparte były wyłącznie na przemijających koniunkturach, czy na osobistym widzi-mi—się autora. Zwracanie się ku przeszłości, szukanie w historii wyjaśnień, czy porównań pogłębia publicystykę, daje szeroki oddech, stwarza możliwości jasnego charakteryzowania analizowanych zjawisk. Zwracanie się do historii ma jednak wartość tylko wówczas, gdy publicysta, posiadający jednak odpowiednie przygotowanie, zobowiązuje się moralnie do niefałszowania historii, do obiektywnego rozważania zarówno argumentów przemawiających za jego tezami jak i przeciw. Rozważania historyczne przedstawione tendencyjnie, jednostronnie są nie tylko społecznie szkodliwe, lecz naruszają powagę samej nauki. Traci wówczas historia całą swą wartość czynnika nadrzędnego, źródła doświadczeń, „magistra vitae”. Staje się zbędna.

Tendencyjne rozważania stają się śmieszne dla obeznanych z przedmiotem, dla nieobeznanych stają się niebezpieczne. Sfałszowana historia spacyfka psychikę nie jednego narodu. Najlepszym przykładem tego były Niemcy Hitlerowskie.

Historia polska ma w tej dziedzinie dobre tradycje. Jakkolwiek w naszym dziejopisarstwie odbijały się, rzecz oczywista wydarzenia i wielkie prądy polityczne, to jednak, w walce z tendencyjnymi teoriami zaborców — zachowywaliśmy zawsze maksimum obiektywizmu. Praktyka publicystyczna chwili obecnej zaczyna niestety odbiegać od dobrych wzorów. Sumienne rozstrząsanie faktów zaczyna zastępować schematyzm, nie raz żywcem wyjęty z miernej jakości podręczników propagandysty.

Tak więc w stosunku do powstania listopadowego — olbrzymia większość prasy wystąpiła z jednolitą tezą, przeważnie w sposób jednoznacznie przepowiedzoną. Teza ta brzmi: przyczyną upadku powstania listopadowego była zdrada rodzimej reakcji, która dla swych własnych materialnych interesów zaprzedała naród wrogowi. Siły zaś demokratyczne, „lewicowe” były zbyt słabe i zbyt niezdecydowane, by móc zdrajców usunąć. Wniosek stąd jasny — należy tępić i dziś reakcję w sposób bezwzględny, gdyż jest ona gotowa zdradzać Polskę. To też we wszystkich artykułach tego typu — słowa reakcja i demokracja powtarzają się co trzecie zdanie. Pomińmy już tu fakt, tak często sygnalizowany, że stałe nadużywanie słów — demokracja, reakcja prowadzi do zupełnego zatracenia sensu.

Pojęcie reakcji posiada w naszej historiografii określenie znacznie trafniejsze i mniej wyszargane — szlachecki egoizm klasowy. Nie ulega też wątpliwości, historycy polscy stwierdzili to już dawno, że egoizm szlachecki stoi u podstaw znacznej większości naszych nie-szczęść narodowych. Jest rzeczą pewną, że, gdyby nie on, inaczej mogłyby się potoczyć dzieje Polski i katastrofa rozbiórów byłaby prawdopodobnie zażegnana. Stwierdzenie tego nie wyczerpuje jednak zagadnienia, gdyż egoizm klasowy nie był wyłączną cechą polską. Był okres, gdy na całym świecie panowały klasy uprzywilejowane i nigdzie nie odznaczały się one wyrozumiałością i dobrym sercem. To też zwalanie wyłącznej odpowiedzialności za wszystko zło na to jedno zjawisko — nie tyle upraszcza historię ile dowodzi o dziecinnej naiwności wyznawców tej teorii.

Rzecz oczywista to samo stwierdzenie odnosi się i do okresu powstania listopadowego. Absolutnie nie pragniemy tu dowodzić, iż egoizm klasowy nie odegrał dużej roli w rozwoju walki powstańczej. Przeciwnie, trzeba stwierdzić: że w obliczu niebezpieczeństwa znaczna większość szlachty nie potrafiła, zarówno wówczas jak i przed tym, wyjść poza swe przy-

watne interesy. Na nic nie zdały się nawoływania ludzi na miarę Mochackiego, Szanieckiego i zgrupowanej „około” nich garstki prawdziwych patriotów. Lecz faktem jest też, że nie tylko te elementy wpłynęły na przebieg powstania. Przeciwnie trzeba obiektywnie stwierdzić, iż nawet przy pozyskaniu do powstania mas ludu polskiego szanse zwycięstwa były nikłe. Z dziwnych pobudek olbrzymia większość prasy innych elementów sytuacji nie uwzględniła.

Pominięty został całkowicie e fakt, że gdyby nie działalność gospodarcza „zdrajcy” Lubeckiego, i jego „kliki reakcyjnej”, powstanie upadłoby o połowę wcześniej. Lubecki bowiem pozostawił po sobie nie tylko bogato wyposażone wojsko lecz i pełny skarb, zdrową gospodarkę, pobudowane szosy.

Były też poza egoizmem klasowym i inne elementy hamujące rozwój powstania listopadowego. Autorzy propagandowych wypowiedzi pominieli je całkowicie milczeniem. Ani p. F. Fiedler w Trybunie Wolności, ani p. W. Kula w Kuźnicy, ani oficjalne wydawnictwo propagandy (Demokracja i reakcja w powstaniach narodowych), ani w wielu innych wypowiedziach publicystycznych nie znalazło się słowo o beznadziejnej sytuacji międzynarodowej z punktu widzenia polskiego w r. 1831. Przeciwnie oficjalne wydawnictwo propagandy stwierdza: „Powstanie upadło mimo posiadania wszelkich warunków powodzenia. Powstanie upadło nie wskutek słabości wojskowej, lecz zhubnej polityki i strategii reakcyjnej”.

Dodać by należało do tego parę uwag. Na tyłach wojsk polskich gromadziły Prusy silną armię, mającą wkroczyć do Polski na wypadek gdyby wojska rosyjskie same sobie z powstaniem rady dać nie mogły. Od początku powstania car Mikołaj miał zapewnioną pomoc pruską, zarówno gospodarczo, jak i wojskowo. Dodać by należało, że wszelkie próby reform społecznych były torpedowane nie tylko przez własną reakcję, lecz i również przez naszych „sprzymierzeńców” którzy tylko za tę cenę ofiarowywali swą, bezużyteczną pomoc dyplomatyczną. Przywódcy powstania nie czuli się na siłę występować osamotnieni na polu międzynarodowym, gdy zdawali sobie sprawę z nikłych szans militarnego zwycięstwa. Sympatie ludów zaś nie wiele nam mogły pomóc. Nie można wreszcie pominąć, jeśli się ocenia wojskowy przebieg powstania ciągnący na wodzach powstania psychozy niezwykłości Rosji. Porów-

nywując bowiem Wielką Armię 1812 roku i możliwości wojenne Królestwa Kongresowego — nie sposób było nie mieć przed oczami widma napoleońskiej klęski. Nie można więc się dziwić wahaniom i załamaniom.

Pominięcie tych argumentów czyni w istocie rozważania o powstaniu zupełnie bezwartościowymi. Co gorsza, narzuca wrażenie bezpodstawności tezy o roli egoizmu klasowego szlachty w upadku powstania listopadowego. Zamiast więc uwypuklać zagadnienie egoizmu klasowego, zamiast zwracać uwagę społeczeństwa naszego na istotną skłonność do zajmowania postawy społecznie reakcyjnej — artykuły tej treści każą sądzić iż pod tą przykrywką kryje się zupełnie inne pojęcie.

Wreszcie na jedno jeszcze zjawisko należy zwrócić uwagę, przy omawianiu powstania listopadowego. Bez wątpienia sympatia olbrzymiej większości opinii publicznej polskiej stoi po stronie Podchorążych, Czwartaków, po stronie Mochackiego. Piszący te słowa sam należy do wielbicieli bezkompromisowego patriotyzmu Mochackiego. Jednak należy pamiętać, że ci ulubieńcy historii są tymi samymi, którzy wyhodowali polski romantyzm polityczny, kult irracjonalizmu, kult heroizmu pozbawionego wszelkich realistycznych hamulców. Publicystyka propagandowa gloryfikująca bez zastrzeżeń twórców powstania listopadowego — zwalając całą winę na obóz przeciwny gloryfikuje protoplastów tych wszystkich, którzy ze ślepych uniesieniem witali rozkaz powstania 1 sierpnia 1944 roku, jeśli i nie tych, którzy ten rozkaz wydali! I jeśli ta sama prasa, gdy mowa o powstaniu użala się nad irracjonalnym bohaterstwem, a wynosi je pod niebiosa na przykładach historycznych to daje tym samym dowód wielkiej krótkowzroczności. Jakąż wartość posiada więc twierdzenie Fiedlera, że rozkaz kapitulacji Warszawy w roku 1831 był zdradą? Czy w obliczu całkowitej klęski powstania, rozkaz obrony Warszawy nie byłby równoznaczny z wyrokiem zgłady w imię złe pojętego honoru narodowego?

Psychika polska nie znosi schematów. Wnikliwość i wielostronność jest jedną z charakterystycznych cech naszej umysłowości. Jest to cecha dodatnia która stawia naukę polską na wysokim szczeblu kulturalnym. Nie zamierzamy z niego ustąpić. W trosce o poziom naszej publicystyki — trzeba przeciw podobnym metodom zaprotestować.

W. Kętrzyński.

OSTRZE NA OSTRZE

WŚRÓD NOCNEJ CISZY...

Nie tak dawno temu, bo 2 grudnia redakcja „Odrodzenia” wspominała z wielkim zgorznięciem, że wiele pism pominięło rocznicę 90 rocznicę śmierci Adama Mickiewicza.

Tymczasem to samo Odrodzenie, łącznie z pokrewną mu „Kuźnicą”, zapomniały o wiele ważniejszej i o ile głośniejszej rocznicy — o Bożym Narodzeniu! Jakby dostojnie pojeśli słowa koledzy — wśród nocnej ciszy utopili pamięć największego święta ludzkości od prawie dwóch tysięcy lat!

W ostrożnym, taktownym „Odrodzeniu” coś tam jeszcze po głowie się tłukło o jakimś tam święcie, doś, że bądź co bądź numer był podwójny, ładniej ilustrowany. By jakoś pokryć kłopotliwą sytuację, by zatrzeć niechęć wrażenie, jakie to przeoczenie musiało wywołać — poświęciło numer — Warszawie. Piosenka Harisa zamiast koledzy? „Masz więc byka za indyka”. Ha! ciekawy sposób świętowania, ale to już sprawa „odrodzeńców”.

Przecież jednak na ostatniej stronie znalazł się felieton Otwinowskiego — „Felieton na święta” zatytułował nasz wersalianin. Na jakie święta, proszę Redakcji? Felieton jest co prawda tylko tak świątecznie zatytułowany i zakończony

życzeniami Wesołych Świąt z okazji Bożego Narodzenia (chyba przeoczenie redaktora?) Kisielewskiemu, Dobraczyńskiemu i Kętrzyńskiemu. Ci trzej muszą być chyba bardzo wzruszeni. Takie wyróżnienie, reprezentować Boże Narodzenie na 16 stron „świętecznego” numeru.

Ten mdły kompromis red. Kuryluka musiał jednak wywołać chyba burzę o burzenia u red. Żółkiewskiego. Kuźnica jest szersza. Dla niej nie ma żadnych świąt wyjąwszy chyba 1 maja i jeszcze może 25 października. Jakiś tam 24, 25, 26 grudnia to takie same dni, jak wszystkie inne w roku.

Sprawa jest jasna, dla panów Żółkiewskiego i Kuryluka — Boże Narodzenie to burżuazyjne, mieszcuchowate sentymentaliki. Według poglądów głoszonych przez te pisma, to rzecz zupełnie obojętne co czuje całe społeczeństwo polskie, dla nich nie posiada wartości fakt, posiadający 1945 lat istnienia i tradycji.

Światopogląd reprezentowany przez te pisma przekreśla widocznie nie tylko całą przepiękną zresztą dekorację obyczajową, lecz przekreśla z całym spokojem największy fakt w przebiegu humanizmu ludzkości.

Odrodzeniu i Kuźnicy gratulujemy nowych, budujących obyczajów.

W. D.

Jerzy Ciechocki

Moda na humanizm

POBUDKA DO NAPISANIA TEGO ARTYKUŁU

Znałem ją jeszcze jako studentkę. Oczywiście studentkę humanistyki, gdyż studiowała w okresie „mędzywojennym”. Była to zwarjowana humanistka, entuzjastka i poszukiwaczka. Później belfrowała i głosem pełnym ekspresji, z wyrazistymi gestami rąk przelewała swój entuzjazm między uczennice. Była dobrą nauczycielką — uczennice lubiły ją i nie przyjmowały jej słów za frazes.

Potem przyszła wojna, przerwa w nauce, ukrywanie się przed łapankami, tajne komplety... i oto jedna z jej uczennic na przełomie roku 1945 i 1946 przyjechała w chustce na głowie i w czerwonym korzuchu, jako repatriantka gdzieś z pod Oszmiany czy święcian. Dziewczyna „pała żądzą wiedzy”. Lecz wybór studjów, zdolności, zainteresowania?... Sześć lat grzebała w ogrodzie, zimą „robiąc” maturę. Cóż dziwnego, że kielkują w niej wątpliwości w sprawie kierunku studjów.

Na plus tej dziewczyny w czerwonym korzuchu muszę zapisać, że nie idzie z prądem. 70 procent jej koleżanek i znajomych „poszło” na medycynę, 10 na farmację, 10 na politechnikę, 10 na rolnictwo i inne zawody „praktyczne”. Żadna nie myśli o humanistyce. Dziś, gdy trzeba zdobyć fach, gdy trzeba budować nową rzeczywistość, gdy karjera czeka tylko zawodowca, gdy roboty w Polsce wyżej łokci... humanistyka?

Ironiczne skrzywienie młodych warg... Lekceważący ruch ramion...

To dobrze, że nasze dziewczęta tak myślą. Ale podejrzewam, że ów pęd do medycyny ma tyleż świadomości, co w okresie „mędzywojennym” pęd do humanistyki. Zgadzam się zresztą, że ta moda może być praktyczniejsza od tamtej.

Lecz owa dziewczyna w korzuchu zapragnęła płynąć przeciw prądowi. Spotkała się z oburzeniem medyków i rolników. Jakto? humanistyka? Po otuchę poszła do swej profesorki.

I oto z ust humanistki, z ust owej entuzjastki i poszukiwaczki słyszy, że nie należy studiować humanistyki; że dziś nie czas na zabawę; że Polska potrzebuje realnej pracy; że medycyna np. daje pożyteczną możliwość ulżenia ludziom w ich cierpieniach, że rolnictwo zwiększa bogactwo narodowe, że politechnika to fundament odbudowy miast i fabryk, a humanistyka — to ostatecznie czysty werbalizm, to przerzucanie pustych słów, nie mających żadnego znaczenia, to zabawa nierobów i leniuchów.

W rezultacie dziewczyna w korzuchu złożyła podanie... na rolnictwo. Wielka jest siła sugestii...

HUMANISTYCZNY KAPELUSZ

W czasach jeszcze przed pierwszą wojną człowiek miał szacunek do słowa. Ludzie chorowali wówczas na definjmanję. Dziś już nie ufa się słowu. Można przytoczyć dziesiątki terminów, które do dziś znaczą całkiem co innego, niż powinny znaczyć, które zmieniają swą treść za łada podmuchem konjunktury politycznej. Krąży na ten temat tysiąc niedrukowanych w „Szpiłkach” dowcipów. Stąd niesamowity chaos pojęciowy — zwłaszcza w dziedzinie ustrojowej i politycznej.

Mówi się dziś wiele o nowych formach kultury. W kołach, lubiących nazywać siebie „sferami intelektualnymi” lub „intelektualistami” pada często słowo „humanizm”. Humanizm jest modny, żuk i żaba przyznaje się do humanizmu. Dziś należy do dobrego tonu być jednocześnie demokratą, materialistą, marksistą i... humanistą. Czy materializm i humanizm łączą się harmonijnie ze sobą, czy — wejrzawszy głębiej — niema między tymi pojęciami sprzeczności, czy marksizm w swej konsekwencji nie jest antyhumanistyczny — tego rodzaju pytania nikomu

nie przychodzą do głowy, a w każdym razie nikomu nie niepokoją sumienia. Gdyż słowa są narzędziem propagandy, nie zaś zewnętrznym wyrazem pojęć.

Lecz mimo to zwie się człek humanistą i propaguje humanizm. Nakłada się go z fantazją na bakier, paraduje się w nim niby we frygijskiej czapce, niby w rewolucyjnym kapeluszu.

Chodzi o slogan reklamowy, nie o postawę życiową.

HUMANIZM I ASCEZA

Jeżeli — naszym zdaniem — materializm sprzeciwia się prawdziwemu humanizmowi (gdyż nie uwzględnia pełni istoty ludzkiej, uznając tylko ciało i jego refleksy psychiczne), to z drugiej strony materialści robią ten sam zarzut antyhumanizmu chrześcijaństwu. Lecz argumentacja ich jest znacznie płytsza. Powiadają oni, że chrześcijanin nie może uznawać postulatu osiągnięcia pełni człowieczeństwa, na dowód przytaczają chrześcijański nakaz ascezy. Nawiasem zaznaczamy, że marksizm jest przeciwnikiem jedynie ascezy, pojętej jako środek do pogłębienia życia nadprzyrodzonego, natomiast w pełni uznaje konieczność ascezy, jeśli jest ona potrzebna dla przyrodzonych celów społecznych. Lecz dla każdego nieuprzedzonego jasne jest, że postulat ascezy nie jest sprzeczny z rozwojem osobowości człowieka (nie indywidualizmu). Uzasadnienie tego twierdzenia wymagałoby zbyt szerokiego omówienia.

Chrześcijański humanizm opiera się na owym wersecie Pisma, mówiącym, że człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Stąd częsty zarzut, że chrześcijańskie pojęcie Boga jest pojęciem antropomorficznym. Jest to oczywiście niezgodne z logiką, gdyż możnaby najwyżej mówić, że chrześcijańskie pojęcie człowieka jest teomorficzne. Natomiast jest bezsporne, że ze wszystkich prądów kulturowych chrześcijaństwo ma najgłębszy szacunek dla człowieka.

Jak rozumieć pozorną antynomię chrześcijaństwa: humanizm i asceza?

Chrześcijański punkt widzenia, wypływa z nauki o grzechu pierwotnym. Grzech pierwotny skaził pierwotnie

dobrą naturę człowieka i asceza jest koniecznym warunkiem przezwyciężenia fatalnych skutków pierwszego upadku. Stąd zasadnicza różnica między humanizmem chrześcijańskim i pogańskim. Błąd humanizmu pogańskiego — we wszystkich jego formach od antycznych do nowoczesnych — polega na tym, że rozpoczyna on historię ludzkości od momentu grzechu pierwotnego („Będziecie jako bogowie...”) i od momentu wygnania człowieka z raju. Zapomnienie o tym, co było przed grzechem pierwotnym, niszczy boski pierwiastek w człowieku, zabija tęsknotę za stanem utraconej świętości, uniemożliwia powrót do niej i czyni ascezę w najdalszej konsekwencji logicznej absurdem. Lecz w ludzkości żyje niejako pamięć utraconego raju, żyje poetycka pamięć pięknego ogrodu, pełnego drzew i krzewów, tryskającego płodnością, gdzie zło nie czyha na człowieka. Ta tęsknota czy pamięć leży u podstaw nowoczesnego naturalizmu. Aurea prima aetas... Naturalizm wyprowadza nas z raju, lecz nie tłumaczy w jaki sposób stamtąd wyszliśmy. „Wówczas spostrzegli, że są nady i zawstydzili się”. Naturalizm nie pojmuje, w czym leży przyczyna owego wstydu i twierdzi, że zawstydzili się włożywszy na się ubrania. Tak patrząc na człowieka nie pojmuje się sensu ascezy. Lecz przecie można patrzeć inaczej, sięgnąć głębiej, dotrzeć przyczyny i wówczas jakże płytko wygląda zarzut o sprzeczności ascezy i humanizmu.

NIEPOKOJĄCE OBJAWY

Ale skoro wszyscy się dziś przyznajemy do humanizmu — materialści i spirytualiści — niekonsekwentna w największej mierze jest antyhumanistyczna postawa, z jaką w tysiącu formach możemy się spotkać. Prawda — jest masa deklamacyj. Lecz widzimy kilka niepokojących objawów antyhumanistycznych, które podcinają korzenie naszej kultury.

1. Przede wszystkim zaciemnienie samej treści pojęcia humanizm, nazywanie humanizmem tego, co humanizmem nie jest, zatarcie granic między tym, co humanistyczne i tym, co przyrodnicze, używanie humanizmu jako propagandowego chwytu. Pełno tego w całej prasie codziennej i periodycznej.

2. Łatwo dziś zauważyć brak głębszego szacunku dla dorobku humanizmu, a przykładem tego może być postawa owej nauczycielki, opowiedziana na początku artykułu. „Twórczość ludzka o tyle ma sens, o ile może być utylitarnie wykorzystana. Wszystko inne — to mazgajstwo i hamowanie ewolucji czy rewolucji społecznej”.

3. Przesadna chęć reglamentacji życia kulturalnego. Rozumiem doskonale, że minął czas konkwestadorstwa w dziedzinie kultury, że przemycanie zła pod płaszczykiem niczym nie krępowanej twórczości jest już hasłem przebrzmiałym. Ale reglamentacja taka musi być niezmiernie ostrożna i wrażliwa.

4. Naiwna wiara, że można zmienić człowieka „rewolucyjnie”, w piorunującym tempie, przy pomocy „ukazu”, przy stworzeniu pewnych zewnętrznych warunków, nie zaś przez powolne wychowywanie nowej osobowości. Efektowne próby reformy szkolnej — które na szczęście nie są tak gwałtownie realizowane, jak jej autorzy życzyliby — bez realnego uwzględnienia konkretnych warunków, bez możliwości (mimo niewątpliwych chęci) chociaż minimalnego pogłębienia wychowania obywatela, mogą być tego przykładem. To co można nazwać „broszurkowością” kultury, godzenie się choćby na płyciznę byle osiągnąć imponującą liczbowo „demokratyczny” rezultat.

5. Wreszcie uleganie pozorom, wiara, że starczy nalepić afisz, zwołać wiec, zorganizować pochód, by zmienić zasadniczo postawę człowieka, odejście od gruntu realnego a upajanie się fikcją (ileż widzieliśmy tego przed wojną!), w ostatecznej konsekwencji kompletny brak szacunku dla człowieka, to dalszy objaw antyhumanistycznej postawy dnia dzisiejszego.

Zapewne, wyliczone punkty nie wyczerpują wszystkich objawów. Lecz sądzę, iż one wystarczą, by stwierdzić, że często dziś używany termin „humanizm” niewiele ma z humanizmem wspólnego.

NIEDYSKRECJE LITERACKIE

„Czytelnik” w natarciu

Mówiło się tak dużo o zastojach w „Czytelniku”, że stało się na giełdzie literackiej popularnym powiedzenie: „wpadł jak autor w Czytelnika” albo gorzej: „W Polsce jest o jednego Czytelnika za dużo...”

Wesołe powiedzenia mają swoisty wdzięk i nie należy ich tępić. W „Czytelniku” było rzeczywiście początkowo dużo ruchu, wrzawy, szumu, aut, zmian siedziby, podróży służbowych, zapomnień i potknięć. Potem zrobiła się głucha cicha. Trwała długo. Aż wreszcie — ukazali się „Krzyżacy”...

Od ukazania się „Krzyżaków” datuje się nowa era w naszej powojennej literaturze. „Krzyżacy” robią wrażenie dobre. Są wydane starannie, z dużą dbałością o korektę drukarską. Na papierze — niestety — kiepskim, ale za to w gustownej okładce i najważniejsze tania. Można wprawdzie dyskutować czy dwutomowa książka za 120 zł jest rzeczą taną. Przed wojną książka kosztowała ok. 10 zł., co odpowiadało cenie 3 kg. masła, teraz odpowiada pół kg... Z tej więc strony książka jest tania. Przed wojną jednak książka za 10 zł. stanowiła 3 — 5% budżetu miesięcznego przeciętnego inteligenta, dziś książka za 120 zł. stanowi 5 — 10%. Więc jest droga.

Niestety, jak sądzę cena „Krzyżaków” jak i cena niedawno wydanej „Starej Basi” (80 zł.) nie może być niższa. Wydał mi się, że w obu wypadkach „Czytelnik” zrobił dużo by uprzystępnienie czyt-

nikom książkę i to należy uznać za positive osiągnięcie właściwe.

Było by jednak mało, gdyby się na wydaniu dwóch klasyków skończyło. Na szczęście nagle — niby wyprowadzony z równowagi ciągle mu stawianymi zarzutami — „Czytelnik” począł wydawać książkę za książką.

Pierwsza ukazała się „Krata” Poli Gojawiczyńskiej (wyd. Czytelnik, Warszawa 1945, str. 207). Książka jest ciekawa, choć nie odpowiada niewątpliwie oczekiwaniom czytelników. Ci bowiem są już zmęczeni reportażami z naszej krwawej, okupacyjnej przeszłości i raczej woleli by ją ujrzeć w opracowaniu artystycznym. Wbrew temu mamy u Gojawiczyńskiej mało literacki przekrój życia więziennego na Pawiaku, przekrój bardzo prawdziwy (autorka siedziała dość długo sama na Pawiaku), obfitujący w rozmaite psychologiczne niespodzianki i w bogactwo typów. Bohaterki powieści nie ma — bohaterami jest cały zespół. To jest zjawisko bardzo charakterystyczne dla pisanych w czasie wojny książek. Po raz pierwszy grupa społeczna — z całą barwnością i odrębnością typów psychologicznych, odmiennością reakcji a jednocześnie wspólnotą postawy wobec wroga — wysuwa się na plan pierwszy. Tak jest w „Kracie”, tak było w sztuce „Obcym wstęp wzbroniony” tak samo w doskonałym dramacie „Nastawnia”, który mi danym było czytać w okresie konspiracji.

Dużym brakiem książki jest pominię-

cie przeżyć — a raczej źle mówię: brak zrozumienia dla przeżyć religijnych na Pawiaku. U Gojawiczyńskiej ludzie się modlą, ale to ma charakter jakiegoś rytuału, koniecznego w życiu więziennym, a przecież właściwie bez znaczenia. Stanowisko takie jest dla nas, którzyśmy mieli wciąż kontakt z Pawiakiem, dużą niespodzianką. Nigdy bowiem i nigdzie przeżycia religijne nie miały takiej mocy jak w więzieniu niemieckim i nigdy może słowo Bóg nie posiadało tyle żywej treści co wówczas. O tym mówili nie tylko ludzie, którzy wierzyli zanim jeszcze znaleźli się w więzieniu. O tym przede wszystkim świadczą ci, którzy w więzieniu odzyskali wiarę (wiarę bowiem zawsze się „odzyskuje” — jest ona bowiem stanem naturalnym człowieka).

Gdy się myśli o tych czasach budzenia się heroicznej wiary pierwszych chrześcijan staje nam zaraz przed oczami człowiek, który właśnie w więzieniu, na Pawiaku, przeżył najgłębszą przemianę duchową i umiał ją zadokumentować swoją postawą: Stanisław Piasecki, redaktor „Prosto z mostu”.

Drugą książkę z tego cyklu stanowią „Dymy nad Birkenau” Seweryny Szmalewskiej (wyd. Czytelnik, Warszawa 1945, str. 302). Książka nie ma zupełnie pretensji artystycznych, jest tylko reportażem ale daje za to obraz tak przerażającego, jednocześnie tak prawdziwego inferna, że jako dokument nie ma chyba sobie równego wśród ostatnio wydanych wspomnień „lagrowych” (na jedno tylko

zwrócić uwagę: na dotychczas niewydane wspomnienia Z. Kossak z Oświęcimia). Reportaż Szmaglewskiej to nie zreżymowany wycinek — jak u Gojawiczyńskiej — ale obraz ogromny, pełen szczegółów, i znowu wśród tych szczegółów aż zastanawia, że tak mało miejsca zajmują przeżycia religijne, te przeżycia, które tworzyły w Oświęcimiu czy w Dachau pokolenie nowych świętych.

Równocześnie z obu tymi książkami, których największą może wartością jest ich popularny wygląd i cena (nareszcie książka bez plutokratycznego, pełnego snobizmu wyglądu książek przedwojennego „Roju“!) ukazało się — tym razem w luksusowej szacie — nowe wydanie

książki Adriana, Sherringtona i Pawłowa „Mózg i jego mechanizm“ (wyd. Czytelnik, Wrocław 1945, str. 173).

Książka była wydana przed 10 laty przez Mathesis Polską. Dziś wydawnictwa Mathesis przejęła na siebie „Czytelnik“, zapowiadając szereg wznowień.

Wydanie — powtarzam luksusowe. Nie styty — coś nie w parze z tym luksusem i starannością wydania idzie zachowanie w tekście starej pisowni. No — trudno: nowa pisownia nie jest idealna. Ale ostatecznie j a k a s j e d n a pisownia w Polsce powinna być!

Wiele jednak można książce wybaczyć za jedną jedyną rzecz. Jest nią to, że książka została wydana we Wrocławiu!

Nie wiem czy dla każdego ten szczegół jest tak samo ważny, dla mnie jest on czymś co wzrusza i porusza. Znowu polska książka wydana we Wrocławiu!

Książka jest ciekawa jak najciekawsza powieść — tyle tylko w tej sprawie może powiedzieć zwykły profan. Ktoś, kogo entuzjazmował Carrel, znajdzie w książce trzech autorów jeszcze jedno wejście na „istotę nieznaną“. Gdy się czyta książeczkę, zdaje sobie człowiek sprawę z tego, że i w nauce nie ma zupełnie obiektywnego stanowiska. Każdy z autorów zupełnie odmiennie ujmując ten sam przedmiot. Inaczej zupełnie mówi taki Sherrington — z angielską subtelnością a jednocześnie z „prerażającym“ hipote-

tyzmem — a inaczej — twardo i zdecydowanie — Pawłow.

Nie wiem tylko czy nauka o mózgu nie poszła w międzyczasie naprzód i czy ujęcie z 1932 r. można dziś uważać za aktualne. Sądzi, że zwłaszcza w instytucie Pawłowa posiadają dziś uczeni coś nowego do ujawnienia.

Rozkręcona machina „Czytelnika“ opowiada nowe pociski: tom nowel Andrzeja Kłosa i powieść T. Hołuj z czasów powstania listopadowego. Poza tym obdarzono naszych najmłodszych — nareszcie coś z głową dla dzieci — kilku udanymi książeczkami.

Paweł Ciepliński

Juliusz German

KRÓLEWSKIE ŁOWY

Polowano w olkienickiej puszczy. Dobięgał zdaleka wrzask obławy, płoszącej zwierzę z gąszczarów i gęstwin boru. Stowarzyszał się z dziesiątkami odgłosów i szelestów, poświstów i nawoływania, które skądinąd niż z człowieczych pierśi dobywały się ni to jękiem, ni gniewem, ni to groźbą. Poszumy listowia i twarde trzeszczenia gałęzi, stapania jakby tylko po mchach samych, czujne, najostrożniejsze, i zaraz nagle zrywające się lotny cwał ucieczki smigłej jak błyskawica... Zadyszania śmiertelnie przerażone, tuż przy nich krótkie ostrzegawcze pobudki, przeciągły pomruk jakby grzmotów, co się zbliżają... I w tych wszystkich wołaniach i echach, a może ponad ich porozrywany chorem, jeszcze inne wyrazne a dziwne głosy, już ani ludzi, ani zwierząt, ani ptaków, ani tych drzew tyśiącznych...

Jesienią stroił się las. Nad złotymi i czerwonymi złotami dębów i grabów nieknięta zieleni świerków. A w dolce przy ciemnych pniach srebrzy się, świetlisto błyszczą, lśni błękitem, prześwieca rozstępnym żelazem...

Halabardy to królewskich drabantów. Barwa tej przybocznej straży błękitna, brązowa biała kitajka. Ubiór ich przy krojony wzorem weneckim, górą bufiasto, dołem cienko...

Opodal służebni strzelcy w grubych zielonawych kurtkach, w barchanowych ognistyach czapkach, niektórzy i w kożuchach, bo na Litwie we wrześniowe poranki ziąb już dotkliwy. Z kolczanów przy lewym boku wyglądają zadzierziste strzały, w rękę oszczep, już w pół drzewca ujęty, przygotowany do rzutu. Rozrzuceni szerokim kręgiem na tej niewielkiej polanie, w pół ukryci za pniami dębów czy klonów, bystro a napastliwie zagadają ku mrokom puszczy

Z posród tych strzelców dwóch czy trzech osadziło na wzdłuż, wbitych w ziemię, długie rusznice, przy wylocie luty gardlasto rozdzielone. Arkabuzjerzy przy swoich arkażach...

Gdzie las rzędził, na skrajku leśnej łąki rozsiadło się towarzystwo sześciu panów.

Jeden z nich siedział na uboczu, całkiem osobno. Dwa psy, ogromne mediojańskie ogary o czarnej sierści, układły mu się nieruchomo przy nogach.

Nie różnił się strojem ci myśliwi. Wszyscy ubrani jedną modlą w szare dekle z miśnianego sukna, w zamkowe nogawki, w płaskie ciemne birety z pięknie puszystych białych piórek.

Tylko ów jeden, na osobności siedzący, miał przewieszony przez ramię róg myśliwski z dwiema złotymi skawkami, pokryty kunsztowną rzeźbą, która przedstawiała łowy na rysie i na niedźwiedzie.

— Proszę cię, panie Tarło, żebyś tym zgiełkom z boru uważnie się przysłuchiwał — szepetem rzekł sąsiadowi mały dojrzałego wieku lecz śmiejących się i chytłych oczu, twarzy dosyć przyjemnej i uprzejmej, którą nieco specził nos krzywy i przypłaszczony. — Przysłuchaj się, a wnet uchem przylapiesz chrapania u rywaków i stęklawe i zaraz nader szybkie, podobne do owego warczenia ptaszekowych skrzydeł, gdy jarząbek w górę znaga wlatuje...

— Tak to słychać, jakieś pan starosta powiedział...

— Zubry pogubione się wabia — szepnął Dowoyna. — Znak to jasny i niemylny, że osacznicy i otokowcy rozpędzili tutaj stado, które leśniczowie na dwadzieścia albo i na trzydzieści sztuk rachują. Tyko patrzeć, jak żubr z kniei tutaj wypadnie...

— Już to wasza mość najadł się łowieckich rozumów, jak prawie żaden inny przy panu miłościwym...

— My Litwini jesteśmy ludzie boru — Dowoyna rozchylił w uśmiechu usta też trochę krzywe. — W gładkich obyczajach nie dodzierżymy pola waszym mościom, panowie z Korony, którym czasem przykrzą się zbyt częste łowy i przebywanie po puszczech. Dla równego darów boskich podziału znamy za to niejedną tajemnicę, przed wami zasłoniętą...

Dreszcz nieznaczący przejął pana Tarła, jakby owiały go silniej te jesienne chłody poranne. Przyszło mu raptownie na pamięć, że pana starostę mereckiego nienią astrologiem i alchemistą, świadomym i medycyną i magią. Wciąż tu muszą czarodziejskie sprawy się przypominać...

Przypomniały się zaraz dokładniej, bo wtrącał się do przyciszonej rozmowy rekodajny królewski, Marcin Herbert Dzieżdłowski, młodzieniec o miłym, swobodnym i krzywe ospowatym obliczu.

— Mój starosto, jeżeli już o tajemnościach gadać zacząłeś, to wyznam, że stokrotnie dziwniejsze od waszych puszczy i ostępów niezbadanych są tutejszych krajów niewiasty. Błade mają liczka, nie ozdobione onym słodkim rumieńcem, jakim nasze panny i młode panie krasnieją, atoli jest w nich słodkość i ładność cale inna a porywająca, jakby cię kto kleszczami prosto za serce chwycił. Złotliwcy mówią o nich z uszczypliem, że, soku z brzozy za napój używając, ubogie są i niezasadne w wigor miłosny. Ułożył nawet powieści rymowaną na to przyprostki:

Wyglądają Litwinki jakby z czyścica dusze.

Smętny, zimny Kupido o brzożowej juze.

Owóż ja temu niepocziwemu rymownikowi wierutny fałsz zadaję! Gdy u nas na Mazowszu dziewczyna „dnem dobrym“ cię powita, wiesz jeno, żeś słowa życziwe usłyszał z przystojnych ustek i niczego za tym się nie domyślasz. A gdy z takim zwyczajnym u ludzi pozdrowieniem przejdzie koło ciebie wysmukła litewska młodka, wzrok nagle podnosząc i spuszczać, tobyś przysięgł, że słyszałeś nie „dzień dobry“, ale „Popatrz-no, jaka ja śliczna!“, albo „Postaraj się choć troszkę, a będę cię okropnie kochała...“.

Człek biedny w głowę potem zachodzi, co to za dziwność z nim się dzieje, kiedy w takie litewskie uroczę zajrzy oczy...

— Umieją niejednego zaczarować te białoszyjki nasze — pan Dowoyna patrzył teraz jakimś pochmurnym wejrzeniem.

— Czemuż to, zacny starosto, odętym wąsem chcesz straszyć mnie niewinnego?

Nie otrzymał już Herbert odpowiedzi.

Piorunowo zagłuszyły się ich szepty krótkim, niby bojowym, krzykiem strzelców i wraz łomotaniem, trzaskaniem, tupotem ciężkim jak spadające gązdy, i wraz rykiem czy też charkotem, od którego powietrze się zatrzęsało.

Wypadł z pomiędzy drzew żubr-byk, pojedynkę.

Wypadł niby pocisk olbrzymi, wyrzucony z gąszczów rozwściekloną dłońią olbrzyma, pana nad puszcza.

Zatrzymał się, łysnąwszy wokoło straszliwymi ślepiami, nabiegłymi krwią, pałającymi zacieklnością, groźbą, rozpaczą...

Stał przez mgnienie, gęsto obrośnięty na łbie, dwukrotnie większym niż łeb wołu, wełnisty grzywą na potwornie garbatym karku o przerażającej mocy, strzępiasty długą brodą na szerokim podgardlu, ku tyłowi szczuplejszy i rzadszą sierścią ozdiany. Skupił się wszystkie w tym karku przepiętym, smagnął się ogonem komałym a niedużym, zniżył łeb o czarnych krótkich rogach, morderczo twarzą i zagiętych, nozdrzami zadmuchał, zastrzygł małymi uszami, znowu ni to ryknął ni zacharkotał chrapliwie, (w górę aż w liściach zającało) i rzucił się ku wrogom, rozgniatując wszystko co po drodze.

Drasnął go, z wierzchu przeorał twarzą skórę niezręcznie ciśnięty oszczep strzelca pierwszego z brzęgu.

Nikt by po takim ogromnie rozrosłym cielsku nie spodziewał się tak błyskawicznego skoku.

Jeno mignął się nad krzakami, jeno jeszcze ogromniejszy wydał się i bardziej potworny.

Posypały się liście i gałęzie z dębu, o który żubr rogatym łbem zaciepił, godząc w ukrytego myśliwca.

Zdało się, że i dąb zatrzęsał się i zachwiał, dąb, którego by dwóch ludzi rękami nie objęto.

Strzelec na bok uskoknął, a tuż drugi z poza najbliższego drzewa się wychylił i tęgi zamachem wbił ostrze rohatyny w garb żubra.

Ku nowemu napastnikowi odwiązał się kądłub zwalisty w piorunowej nieoczekiwanej szybkości. Spod miążdzących kopyt trysnęło kłębówisko darni, wierzosów i chrustów.

Zahaczył oszczepnika róg żubra, zabójczy rozrzuwającym zniszczeniem.

Z nieludzkim wyciem skargi zwał się człowiek w krwi.

W jednym mgnieniu podesadził się pod

niego żubrzy łeb, by na rogi go porwać i w miążę nieczłowieczą roztrząsaka, lecz w mgnieniu jeszcze krótszym napałdo na bestję z trzech stron trzech myśliwych.

Doskoczyła sfora psów gończych, wypuszczonych jednoczesnym raptem.

Wśród tych trzech najzwinniej na zwierz rza pośpieszył ów samotnik, na uboczu siedzący, pilnowany przez dwa czarne ogary.

Leciał za nim kilku dworskich, zagęścili się przy nim strzelcy, wyskakując z poza drzew chroniących. Zabłyszczały nastawione halabardy już w samym jego pobliżu.

W prawej dłoni trzymał sprawnie drzewce oszczepu, w lewej długi sztylet o srebrnej rękojeśni, o toledańskiej błękitno-złotej klindze.

Zającały, zaświstały cieciewy łuków. Zazębiły się w żubrowym cielsku wartkie grotty, orlimi piórami przybrane dla lepszej lotności i dla lepszego celu.

Od jednych łowców ku drugim zaczął miotać się zwierz pokaleczony, bryłowały a błyskawicznie groźny, w szaleństwie najczarniejszej wściekłości.

Pan z toledańskim sztyletem gibko, zgrabnie uchylał się przed łbem rozmiotany. To o parę kroków odskoczył, to znowu zaszedł żubra z bliskości, oszczep wciąż mając w pogotowiu.

Przezroczyście delikatna, blade popielata cera twarzy lekko mu się zaróżowiła, spieczona, wywinęte wargi ożywiły się świeższą czerwienią.

Ogary niewzruszenie trzymały się jego boków, wraz z nim cofając się w odskokach, razem z nim napadając zaciekle.

Zawył jeden rozdzierającym skowitem Trzasnął weń ogon żubra, twardy jak biczysko z żelaza. Trzasnął raz i drugi, określił zbitego psa przez pół niby sznur stalowym. Taigał się skowyczący ogar, bezsilny i miążdżony.

— Chustę albo czapę czerwoną przed żubra migiem rzucić! — w srogim krzyku rozkazał pan Dowoyna.

Cisnął któryś strzelec barwistą purpurową szmatę. I w tej chwili oszczepem cisnął Zygmunt August.

Było teraz drgnienie momentu, gdy żubr i król zwały wzrok ze wzrokiem.

Niezwykłe wielkie, czarne, przedziwne gorejące oczy człowieka utkwily, jakby zadając cios ostatni, w oczach powalnego zwierzęcia, wypukłych, przekrwionych, o zrenicach prawie pionowych, pełnych metalowo zielonawego odbłasku, z którego szła wieść o najbardziej tajemnych światłach puszczy.

Zaszklily się już te żubrze ślepa martwota.

Królewski myśliwiec rozejrzał się, oglądając.

— Który to z moich strzelców poszarpan?

Podbiegł śpiesznie człeczek suchawy i twardy niby szcapan, Jan Kaczorek, przełożony nad strzelecką służbę.

— Najjaśniejszy i miłościwy królu, Jurgielis to onże młody...

— Czystymi szmatami poranienia mu przewiązać, do kolebki położyć i wieść do mojego chirurga Katerli...

Skinął na strojnego chłopaka-pokojowca w okragłej łuskowatej czapce.

— Juraszek! Sam tu do mnie! — nakładł łosiowe rękawice, które miał za pasem zatknięte. — Gryfa i Sybillę weźmij zaraz na smycz, żeby w ścierwie pysków nie maczały. Sybillę trza opatrzyć dokładnie, czy byk jej zeber nie połamał...

Odchodził od łowieckiej zdobyczy, nie mając już dla niej krzty spojżenia.

Znowu osobno usiadł, nie przyzwawszy do siebie nikogo z dworskiego towarzystwa.

Zapatrzył się w las złotobarwny.

Pan starosta merecki przystanął nad pobitym żubrem, łypiąc w królewską stronę okiem niespokojnie uśmiechniętym.

— Zważcie, wasze miłości, że bydlęciu z wiosennego linienia grzywa jeszcze nie całkiem odrosła, chociaż sierść na nim dużej, ba, wyjątkowej gęstwy. Przy końcu września żubry już zawsze do pełnej sierści powracają. Silnie myślą go czuć i mokrzyzną, jako że latem naiebnetniej wilgotnych miejsc się trzymał. Na zime tych odorów się pożywał.

— Potężna to potwora i niezwyčajnego ogromu — pochylili się nad padłym pan podskarbi Jan Lutomirski, z wyglądu łagodny, zafrasowany i czerstwy. — Pojąć trudno, że taka nieforemna bryła z węzową letkością ciskała się i miotała...

— Podziwiać tu szczerem sercem świętą zwinność naszego miłościwego pana! — zawołał piąty z myśliwskiego orszaku, Jan Radziwiłł, krakcy przy litewskim dworze króla i księcia, mężczyzna mocnej budowy i mocno wyciosanej twarzy. — Jakimże raczym się okazał, jakim zgrabnym! Żaden młodzik sprężyściej by nie biegał!

— Młodzieństwo królowi już minęło, ale jego młodość w bujnym jest rozkwitanu — radośnie rozjaśnił się pan podskarbi. — Mamy miesiąc september i rok Boży tysiąc pięćset czterdziesty szósty... Otóż liczy sobie nasz pan lat dwadzieścica sześć z kilkutygodniową doczepką. Ślicznie męskie rozpoczynają mu się czasy. A jeszcze bardziej wynosilibyś pod niebo rycerską jego raczość gdybyś widział, panie Radziwiłł, jak przed siedmiu laty na weselu pięknej Beaty Kościeleckiej z Ilią kniazem na Ostrogu królewiczek nasz przy turniejowych uroczystościach zrzucił z konia i na ziemi rozłożył onego księcia Ilię, którego i w szrankach wiele sławy pozyskał i z Tatarami wręcz się ścinał w zwycięskich wojownikach...

— Nosił wtedy kniaz Ilię zbroję srebrną na czarnym aksamicie, pas tatarski i ostrogi z najprawdziwszego złota — ożywił się milczący dotąd Tarło. — Koń jego był całkowicie przybrany w niedźwiedzią skórę, a przy kolanach miał dzwonki, grające za każdym poruszeniem. Italijskie panny królowej Bony w wielkich strachach trzęsły się o królewicze zdrowie, że to rycerz na niedźwiedziu przeciw niemu do walki wyjechał.

— Brzęczy mi w uszach dawne ludzkie gadanie, że były jakieś zmywny i zrekowiny między tym właśnie kniazem Ilią Ostrogskim a panną Barbarą Radziwiłłówną na rok przedtem, nim ją wojewodzie Gasztołdowi poślubiono — Herbert z ciekawością zaglądał na pana kraj czego litewskiego.

— Iście dawne to dzieje — Jan Radziwiłł niechętnie szarpnął ramionami.

— I jam słyszał o owych zrękowinach — rzekł Tarło. — Ale pono już wówczas Ilię gorzał do panny Beaty w pomieniach najbardziej szalonych, które przedko z tego świata go wygnaly...

Herbert szepnął Tarło do ucha:

— W żądach wielce niepowściągliwa była ta Beata Kościelecka, nieprawa córka starego króla Zygmunta. A obyczajnie młodziutkiej Barbary w bardzo były nie-dobrej sławie. Toteż mówiono o kniazu Iliji, gdy rozręczył się z Barbarą i ożenił z Beatą, że z jednego błota wlał w drugie...

— Wspomniałeś wasza mość, panie Tarło, włoskie panny królowej starej — przerwał tu pan krakcy litewski. — Tu rzecz moją podejmę o podziwach nad panem miłościwym. Toż król młody aż do siedemnastu lat swoich przy matce mieszkał, przez białogłowy był chowany i przez Włochów, miększych niż niejedna niewiasta...

— Prawda to — mruknął pan podskarbi — że przydłużej przy tej białogłowskiej wieśszaj się zgrai, przy onych gładkoliczych i perfumowanych a lubieżnych Faustynach, Laurach, Zanettach i innych różnego nazwywania a tych samych letkich obyczajów.

— Miernego wzrostu, chudy, nader delikatnej struktury — Radziwiłł eicho zaczął mówić, spozierając na króla, siedzącego o kilkanaście kroków — w miękkościach rósł i w jedwabistych wygodach, a taką odznacza się wytrzymałością niezmierną, że niezaw nie sprostają mu najmocniejsi.

— W tym roku już sto siedemdziesiąt pięć dni spędził na łożach — odezwał się Dowoyna. — Ten i ów szlachetny towarzysz pańskiego polowania — ze znacnym zadowoleniem zerknął ukosem na Tarła i Herberta — z nóg leciał i z sił wszelkich opadał, a pan jeno by biegł do boru, gdzie głuźce największe i najdziksze, jeno by ganiał za zwierzem co grubszym i co groźniejszym... Bywało, że na kłęczkach o hamowanie tych zapałów upraszał...

— Ponad miarę wytrzymały nie tylko na myślistwo — szepnął pan Lutomirski. — I na troski...

— Rzekłeś, panie podskarbi — Tarło powolnym ruchem głowy przytwierdził. — Siedzi nasz pan zamyślony. Ma nad czym myśleć. Ciężkie waży decyzje których by nie udźwignął nikt drugi...

— Sto w nim zagadek, nie ta jedna — wesoly Herbert Dzieżdłowski też spoważniał.

ŁÓDŹ — MIASTO IMPREZ

Tak cicha przed wojną i prawie że nie biorąca udziału w naszym życiu artystycznym Łódź stała się obecnie miastem o najwyższym bodajże ruchu artystycznym. Niedarmo widac przygarbiona setki artystów z całej Polski — z Warszawy, Wilna, Lwowa, Poznania. W przeciwieństwie do Warszawy, w której na razie afisze są jeszcze niestety rzadkością, Łódź jest wprost upstrzona najrozmaitszymi plakatami. Na każdą niedzielę przypada kilkanaście imprez wchodzących sobie wzajemnie w drogę. O ile kto ras z nich zdecydowanie zamierza inne, publiczność nie ma przynajmniej kłopotu i choć jedna z tych imprez udaje się całkownie. W przeciwnym jednak razie publiczność rozprasza się ku niezadowoleniu wszystkich występujących.

W niedzielę przed południem odbywa się kilka poranków muzycznych — w Filharmonii, w „Czytelniku”, czasem poranek organizowany przez P. C. K., poranki Estrady Poetyckiej, poranki autorskie (ostatnio Wiecha), recytatorskie, poranki tańca (balet Parnella, Buczyńska), poranki humoru, poranki kukielkowe dla dzieci i t. d., i t. d. Wieczorem znowu kilka koncertów — w Konserwatorium, w Robotniczym Domu Kultury, czasem w Teatrze Wojska Polskiego, szereg przedstawień teatralnych poważnych i lekkich, oraz imprez dorywczych, jak np. Szopka Polityczna.

Teatry mają w Łodzi znacznie większe powodzenie niż koncerty, choć są daleko mniej przystępne z powodu wysokich cen biletów. Prym dziery Teatr Wojska Polskiego, w którym lepsze bilety wyprzedane są na ogół na dwa dni z góry. Na drugim miejscu postawiłabym Teatr Powszechny T. U. R., na trzecim natomiast Teatr Kameralny Domu Żołnierza. Teatr W. P. wystawił w b. roku: „Wesole” Wyspiańskiego (w reżyserii dyrektora Teatru Władysława Krasnowieckiego), „Dożywocie” Fredry (inscenizacja Węgierki, reżyseria Kreczmara), „Fantazy” Słowackiego (reż. Osterwy), „Świętoszek” Moliere (inscen. Daczyńskiego, reż. Zelwerowicza), „Niespokojną starość” L. Rachmanowa (reż. Wyrzykowski i Zelwerowicz), „Lekkomyślną siostrę” Perzyskiego (reż. Daczyńskiego), „Łato w Nohant” Iwaszkiewicza (reż. L. Jabłonkówny) i „Ostrożnie, świeżo malowane!” Rene Fauchois (reż. Edm. Wiercińskiego). Najbardziej udanym, zwartym przedstawieniem było bezwzględnie „Dożywocie” z udziałem świętego Jacka Woszczerowicza i Czesława Wollejko.

Abstrahując od stałego powodzenia u publiczności, ostatnio Teatr W. P. ma złą passę, gdyż krytyka odniosła się bardzo nieprzychylnie do obu ostatnich przedstawień, ganiąc jeżeli chodzi o „Łato w Nohant” reżyserię i grę młodych aktorów liczących udział w tej sztuce, jeżeli chodzi natomiast o Fauchois — ganiąc słusnie samą sztukę. Roman Zrębowski w swoim artykule umieszczonym w „Dzienniku Łódzkim” dowodzi, że „laborat Fauchois, wyrażając się żargonem malarskim, jest kiczem opartym na innej sztuce, również kiczu ponownie przemalowanym”. Zdaniem Zrębowskiego sztuka Rene Fauchois zawiera motywy analogiczne do przeróbki scenicznej Georges Michela. O ile jednak Michel przedstawia ignorancję, snobizm i spekulację mieszczaństwa francuskiego w stosunku do dzieł sztuki, ucziwie liczył się z faktami, o tyle „Fauchois fakty ogólnie znane przekształca, gmatwa”. Pomijając wywody Zrębowskiego musimy stwierdzić, że sztuka Fauchois nie ma walorów scenicznych, a cały jej komizm polega głównie na grze aktorów. Dlatego też z prawdziwą przyjemnością dowiedzieliśmy się o premierze w dn. 14 grudnia „Wesela Figara” Beaumarchais w przekładzie Boya. Podobno w tym sezonie Teatr W. P. zamierza również wystawić z klasyki światowej dwa utwory Szekspira — „Jak wam się podoba” w przekładzie Czesława Miłosza i „Wesołe kumoszki z Windsoru” w przekładzie Polewki, oraz „Szelmoskie figle Scapina” Moliere. Omawiając repertuar Teatru W. P. nie można nie wspomnieć jeszcze o danej w lecie baje scenicznej dla dzieci „O Janku co psom szył buty” według Słowackiego. Bajka ta na dość wysokim poziomie artystycznym, z pięknymi dekoracjami i dowcipną muzyką ma być podobno powtórzona w sezonie. Tym samym wznowiona zostanie przerwana z jakichś zakulisowych względów działalność tak dobrze zapowiadającego się, prawdziwego teatru dla dzieci „Bajka”.

Teatr Powszechny T. U. R., który jeszcze w ubiegłym sezonie zjednął sobie publiczność świetnym wystawieniem „Panny Maliczewskiej” Zapolskiej, po gościnnych występach zespołu krakowskiego w „Skizie” (Ćwiklińska) dał „Pana Jowialskiego” Fredry w reżyserii Szeletyńskiego ze znakomitym Zelwerowiczem w roli szambelana i tegoroczną jubilatką Marią Dąbrowską w roli pani Jowialskiej. Przedstawienie bardzo dobre — staranne i harmonijne. Obecnie Teatr Powszechny przygotowuje swierszcz za kociną Karola Dickensa pod kierunkiem reżyserskim Daczyńskiego.

Trzeci z kolei, nowopowstały w Łodzi Teatr Kameralny Domu Żołnierza wystawił na otwarcie sezonu „Pygmaliona” Bernarda Shaw’a w reżyserii Michała Meliny z Lubieńską i Melina. Ta ciekawa sztuka przemówiła jednak do nas tym

razem tylko świetnością samego tekstu, przedstawienie wypadło bowiem na ogół słabo. Również grana przed „Pygmalionem” w Teatrze Domu Żołnierza „Sprawa Moniki” Morozowicz-Szczepkowskiej (występy gościnne zespołu warszawskiego) nie dała nam mimo dobrej gry aktorów pełni zadowolenia — tym razem z powodu jednostronności ideowej sztuki. Feminizm Szczepkowskiej nie ma w obecnych czasach racji bytu. Następną sztuką w Teatrze Kameralnym ma być „Głupi Jakob” Rittnera.

Poza teatrem poważnym w Łodzi istnieje jeszcze kilka teatrów rozrywkowych, jak Teatr „Syrena” — Spółdzielnia Pracy Aktorów, Teatr Komedia Muzyczna i Teatr Gong na poziomie zresztą dość niskim, oraz dwa teatry dla dzieci — doskonale Wilenski Teatr Łatek i Teatr Lalek TUR w Centr. Robotniczym Domu Kultury.

Wspomniana przeze mnie na wstępie Estrada Poetycka, mieszcząca się w Państwowym Instytucie Sztuki Teatralnej, zorganizowana została dla szerzenia kultury słowa poetyckiego i wchodzi ona w zakres działalności artystów Teatru W. P., a pozostaje pod kierownictwem Marii Wiercińskiej. Pierwsza audycja Estrady Poetyckiej, ciekawa już z samego założenia, nosiła tytuł „Na gruzach dom” i obejmowała teksty poetyckie od XVI wieku po współczesne powstałe w czasie wojny. Struktura programu polegała na uwydatnieniu przemian zachodzących w tematyce poetyckiej pod wpływem wydarzeń historycznych. Słowo poetyckie ilustrowane było muzyką Chopina i Szymanowskiego. Na audycji tej niestety nie byłam i wiem tylko tyle, że prasa napadła na nią jednogłośnie (czy słusznie?), nazywając ją „ucieczką przed rzeczywistością” (znowu ta nieszczerza rzeczywistość!) i ganiąc kierownictwo za „mesjanistycznie — mistycznie — mętny układ wierszy”. Druga audycja Estrady Poety-

ckiej „Listy Chopina” w opracowaniu K. Stromengera, w wykonaniu Zofii Małynicz i Jana Kreczmara (recytacje), oraz Marii Wiłkomirskiej (fortepian) odbyło się 16 grudnia.

Jeżeli chodzi o działalność samych poetów i pisarzy, to dotychczas była ona dosyć ograniczona — podobno z powodu braku funduszy i odpowiedniego lokalu. Poza zamkniętymi wieczorami autorskimi w Związku Literatów jedynie w okresie letnim zorganizowano dziewięć wieczorów dla szerszej publiczności w Miejskim Studium Teatralnym. W wieczorach tych wzięli udział wszyscy czołowi literaci przebywający w Łodzi jak: Gojawiczyńska, Nałkowska, Szelburg-Zarebina, Brzechwa, Jastrun, Rudnicki, Ważyk, oraz na wieczorze „Szpilek” — Lec, Hertz, Minkiewicz, Pasternak. Wieczory te nie zawsze jednak stały na wysokim poziomie z punktu widzenia literackiego. W sezonie obecnym Związek Literatów ograniczył się do urzędzenia kilku wieczorów autorskich (bezpłatnych w różnych organizacjach i szkołach). Według zebranych przeze mnie informacji, Związek Literatów z Tad. Łopalewskim na czele zamierza rozpocząć od Nowego Roku wielką akcję społeczno-literacką, polegającą na niesieniu — wobec braku książek — żywego słowa. A więc w projekcie są wieczory literackie dla robotników (ostatnio wieczór taki miał przejeżdżającym Władysław Broniewski), dla młodzieży, wojska i ogółu społeczeństwa tak w samej Łodzi, jak i na prowincji. Związek Literatów otrzymał od miasta Hotel Savoy, w którym zamierza prowadzić w celach dochodowych kawiarnię i restaurację i we własnym lokalu klubowym — Cafe — Club — Pickwick urządzić wieczory literackie zamknięte i otwarte.

Pierwsza publiczna wystawa plastyków, obejmująca ponad 160 prac, odbyła się w sierpniu — wrześniu. Była ona w przeważnej części dorobkiem z okresu przedwojennego i wojennego, składające-

go się z dzieł, które uniknęły zniszczenia. Bardzo niewiele, bo zaledwie 30 procent wystawionych prac zostało wykonanych po wypędzeniu Niemców. Wydział Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego nagrodził kilka prac następujących autorów: Stefana Wegnera (3 rysunki), Jerzego Zaruby, Adama Rychtarskiego, Jadwigi Przeradzkiej, Leona Ormezewskiego, Romana Modzelewskiego i Sary Gliksmann. Druga wystawa ma być zorganizowana już niedługo. W międzyczasie (w listopadzie) w Miejskiej Galerii odbyła się wystawa fotografii sowieckiej: Leningrad — Sewastopol, zorganizowana przez Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Obecnie zaś Miejska Galeria gości wystawę Krakowskiego Związku Polskich Artystów Plastyków. Wystawę stanowi ponad 80 prac malarskich (36-ciu artystów), wykonanych technikami: olejną, akwarelą, temperą i gwaszem. Na wystawie przeważa kolor jako główny sens malarstwa. Wśród wystawionych eksponatów znajduje się kilka obrazów zakupionych do państwowych zbiorów sztuki, a mianowicie: Fedkowicza Jerzego — Martwa Natura, Gepeprta Eugeniusza — Potyczka, Pronaszki Zbigniewa — Martwa Natura, Radnickiego Zygmunta — Pejzaż, Rudzkiej-Cybis Hanny — Martwa Natura, oraz kilka prac wyróżnionych, jak Borysowskiego Stanisława — Martwa Natura, Hegera Jarosława — Pejzaż podmiejski, Stadnickiej Łady — Pejzaż. Powracając do malarzy łódzkich trzeba dodać, że kilka ich prac, a mianowicie obrazy Wegnera, Jędrkiewicza, Przeradzkiej, Lange i Mierzejewskiej Związku Plastyków wysłał w listopadzie do Warszawy na wystawę związaną z Kongresem Związków Zawodowych.

Tak się mniej więcej przedstawia życie kulturalno-artystyczne w Łodzi, — w mieście zastępującym z konieczności setkom artystów utraconą chwilowo Warszawę.

Wanda Bacewiczówna

ŻYCIE GOSPODARCZE

Międzynarodowa kronika gospodarcza

Gospodarka planowa w rolnictwie angielskim. Z pośród licznych przekształceń, jakie się dokonywują w ekonomicznej i społecznej strukturze W. Brytanii, po cząwszy od wybuchu drugiej wojny światowej aż po chwilę obecną, do najgłębiej sięgających i najradykałniejszych należy niewątpliwie zaliczyć proces reorganizacji. Wiadomo, że rewolucja przemysłowa XIX w. została zrealizowana dzięki wolnemu od ceł importowi żywności, w pierwszym rzędzie zboża, co zapewniło wprawdzie niski poziom kosztów utrzymania, a w następstwie płać i kosztów produkcji, ale zarazem doprowadziło do upadku rolnictwa z wynikającymi stąd ujemnymi następstwami społecznymi — proletaryzacją i politycznymi — zależnością od dostaw morskich w razie wojny. W latach 1914 — 1918 podjęto wprawdzie próby odbudowy rolnictwa, ale wnet po nastaniu pokoju zarucono je i sytuacja farmerów nadal się pogarszała. Dopiero obecna wojna przyniosła radykalne zmiany. Pod naciskiem braku tonażu na import żywności rząd koalicyjny Churchilla otoczył szczególną opieką rolnictwo, gwarantując mu zbyt produktów po stałych cenach. Równocześnie wzięto pod uprawę rozległe pastwiska i łąki, a nawet — o zgrozo — tereny golfowe. W rezultacie Anglia, która przed wojną produkowała u siebie niewiele ponad 1/3 potrzebnego jej żywienia, w czasie wojny doprowadziła do tego, że z własnej produkcji pokrywała około 60% swej aprowizacji. Produkcja niektórych gatunków zbóż wzrosła o 100% i więcej. W czasie ostatnich wyborów obie partie, konserwatywna i socjalistyczna, odzęgnęły się od powtórzenia błędów, popełnionego w pierwszej wojnie światowej, kiedy to pozostawiono rolnictwo angielskie na pastwę konkurencji rolnictwa zamorskiego i wypowiedziały się zdecydowanie za kontynuację polityki ochrony interesów agrarnych. Brak dewiz na import żywności i doświadczenia z ostatniej wojny niewątpliwie odegrały tu swoją rolę.

Program, przedstawiony w Izbie Gmin przez ministra rolnictwa, przewiduje utrzymanie w mocy tych zasad, które umożliwiły rolnictwu angielskiemu taki rozkwit w czasie ubiegłej wojny, t. zn. zapewnienia rynków zbytu, oraz minimalnych a opłacalnych cen. Oryginalnym rysem programu jest system ustalania cen na okresy czterolatnie z zastrzeżeniem rewizji co dwa lata. W ten sposób np. w lutym 1946 r. zostaną ustalone minimalne ceny na bydło, jaja i mleko na okres od czerwca 1948 r. do czerwca 1950 r. Z drugiej strony ceny na zboże, ziemniaki i bułaki cukrowe zostaną ustalone dekretemi na 18 miesięcy przed każdymi zbiorami. W związku jednak z ewentualnością zawarcia układów międzynarodowych, dopuszczających import pewnych artykułów żywnościowych minister zapowiedział, że ograniczenia ilości produktów, objętych gwarancją zbytu, zostaną podane do wiadomości na 18 miesięcy naprzód, o ile chodzi o zbory, a na 2 lata, o ile chodzi o bydło, jaja i mleko.

Korzyści, wynikające stąd dla rolników, są oczywiste. Mogą oni wybierać sobie najrentowniejsze rodzaje kultur i zwolnieni są od wszelkiej niepewności w odniesieniu do cen. Te korzyści pociągają za sobą jednak także i obowiązki. Rolnicy muszą się stosować do dyktand rządowych, w przeciwnym razie, podobnie jak i w przypadku nieuprawiania roli grożą im surowe sankcje, do wyłączenia włącznie, z zastrzeżeniem jednak prawa odwołania się do niezależnego trybunału. Zachowano również komitety agrarne, ustanowione w okresie wojny w każdym hrabstwie (odpowiednik naszego województwa) i mające za zadanie udzielanie porad, popieranie nowoczesnych metod w rolnictwie i ułatwienie renowacji sprzętu.

Pod znakiem realizmu. Rząd partii pracy, nie cofając się przed reformami społecznymi, które uważa się za niezbędne, zachowuje jednak postawę realistyczną i jawną odwołanie do doktrynerstwa. Świadczy o tym chociażby ostatnie przemówienie premiera Attlee przed kongresem amerykańskim, stwierdzające, że stronnictwo jego nie uważa się za przedstawiciela jedynie świata najemnej pracy, ale poprostu za stronnictwo narodowe w całym tego słowa znaczeniu, t. zn. reprezentujące w przekroju wszystkie odłamy i koła społeczeństwa. „Nasza grupa parlamentarna obejmuje zarówno pastorów protestanckich, jak katolików i żydów, zarówno robotników, jak i dziennikarzy” — oświadczył premier.

Ten ponadklasowy charakter rządu partii pracy odbija się również na jego polityce gospodarczej, niesuszczającej z oka interesów całości. Do szeregu enuncjacji rządowych, podkreślających wolę najbliższej współpracy z przemysłem i handlem i ograniczenia ingerencji Państwa do minimum, niezbędnego z punktu widzenia nadrzędnych interesów, przybyła ostatnio charakterystyczna wypowiedź ministra handlu, Sir Stafford Crippsa, w sprawie prywatnych towarzystw ubezpieczeń. Minister oświadczył, że program rządu nie przewiduje upaństwowienia ubezpieczeń, ani też ograniczenia inicjatywy prywatnej w tej dziedzinie i zaznaczył, że 70% tranzakcji angielskich towarzystw ubezpieczeniowych przypada na ubezpieczenia zagraniczne, przynosząc dochód netto w wysokości 20 milionów funtów szterlingów rocznie. Ten niewidoczny eksport stanowi nader ważną pozycję w kategorii naszych aktywów — minister dodał. Natomiast w dziedzinie ubezpieczeń na życie 90% tranzakcji towarzystw angielskich stanowią ubezpieczenia wewnątrz Anglii. Należy dodać, że w związku z klęską Niemiec otwierają się przed angielskimi towarzystwami możliwości partycypowania w ubezpieczeniach na kontynencie europejskim w drodze reasekuracji, t. j. przejmowania części ryzyka od towarzystw kontynentalnych w zamian za odstępnie części premii. Przed ostatnią wojną udział Niemiec w interesach reasekuracyjnych był bardzo znaczny.

Stany Zjednoczone. Program reorganizacji handlu zagranicznego, opracowywany obecnie przez Ministerstwo Handlu, przewiduje wzrost nie tylko wywozu, ale również i importu. Zmierzano do udzielenia wszelkiego rodzaju ułatwień importom amerykańskim, „celem powiększenia zasobów dolarowych w obcych krajach”. Ponieważ „na długą metę wzrostowi eksportu musi towarzyszyć wzrost importu”, Ministerstwo Handlu przystąpi do wydawania publikacji i analiz gospodarczych, mających za zadanie powiększenie przywozu bez uszczerbku dla produkcji krajowej.

Poczynając od czerwca 1946 r. przemysł samochodowy będzie produkował pół miliona wozów miesięcznie, czyli dwa razy więcej, niż w 1939 r. 8-cylindrowa limuzyna Forda będzie kosztować 880 dolarów, plus podatek w sumie 20%.

Reforma walutowa w Holandii. W szeregu krajów, jak Polska, Francja, Belgia, Czechosłowacja, przeprowadzono po wojnie uzdrowienie waluty w drodze deflacji. Ostatnio przybyła do nich Holandia. W dniu 1 października obieg banknotów wyrażał się cyfrą 1.161 milionów florenów, do czego należy doliczyć 2.245 milionów florenów wkładów prywatnych, figurujących po stronie pasywów Banku Emisyjnego, czyli łącznie 3.406 milionów florenów. Po wymianie pieniędzy obieg banknotów spadł na 855 milionów florenów, wkłady na 1.95 milionów (w tym 1.708 chwilowo „zamrożonych”), czyli gotówka i pieniąż bankowy razem uległy redukcji na 2.810 milionów. Różnica 594 milionów (3.406 — 2.810) wynikała z nieprzedstawienia do wymiany części banknotów, bądź z tego powodu, że właściciele byli obywatelami krajów nieprzyjacielskich, bądź z powodu pochodzenia pieniędzy z niedozwolonych transakcji na „czarnym rynku” i obawy przed składaniem wyjaśnień, co do źródeł dochodów. Z dniem 22 października obieg gotówki wzrósł w związku z częściowym odmrążaniem wkładów na 1.298 milionów, wkłady natomiast spadły na 1.205 milionów (w tym 946 milionów zamrożonych), łącznie zatem ilość gotówki i pieniąż bankowego wynosiła 2.503 miliony. W zestawieniu ze stanem bezpośrednio poprzedzającym reformę walutową (3.406 milionów), deflacja wyraża się spadkiem całego obiegu o okragło 900 milionów florenów, równocześnie jednak o taką samą kwotę wzrosło konto Skarbu Państwa w Banku Emisyjnym, t. zn. z 1.488 milionów na 2.387 milionów. Minister Skarbu oświadczył, że obecny stan obiegu pozostaje we właściwej relacji do dochodu narodowego, ocenianego na 5 miliardów florenów.

Następnym z kolei problemem jest konsolidacja płynnego zadłużenia państwowego w kwocie 9 miliardów florenów. Rząd opracowuje w tym celu projekt pożyczki wewnętrznej, oprocentowanej na 3 i pół proc., jak również podatku nadzwyczajnego od kapitałów, w związku z czym przewiduje się obowiązek rejestracji walorów giełdowych.

Jednym z najciekawszych następstw reformy jest zupełna likwidacja nielegalnego handlu wautami. Obecnie można nabywać na wolnym rynku np. funty szterlingi po kursie urzędowym, t. zn. 10.6 florenów, podczas gdy przed reformą kurs dochodził do 100, a nawet 200 florenów.

Elektryfikacja kolei francuskich. W związku z planem elektryfikacji, opracowywanym obecnie przez francuskie koleje państwowe, tygodnik „Economie” przytacza szereg interesujących danych, mających zasadnicze znaczenie dla całego problemu. Do 1917 r. zelektryfikowano we Francji tylko 250 km. Trudności węglowe w okresie pierwszej wojny światowej skłoniły jednak rząd francuski do przyspieszenia elektryfikacji z uwagi na połączenia z tym oszczędność węgla. Od tej pory elektryfikacja objęła liczne linie kolejowe, między innymi linie Paryż — Bordeaux — Hendaye, Paryż — Limoges — Tuluza, Tuluza — Bajonna i t. d. Dla kraju uboższego w węgiel, a obfitującego w siły wodne, jak Francja, elektryfikacja przedstawia szczególne korzyści. Nawet jednak w tych przypadkach, gdy energia elektryczna jest wytwarzana wyłącznie przy użyciu węgla, marnotrawstwo ciepła jest bez porównania mniejsze, niż przy zastosowaniu nawet najnowocześniejszych lokomotyw, tak iż oszczędności w porównaniu z kolejami parowymi conajmniej 50%. Przed wojną koleje francuskie zużywały 10 milionów ton węgla rocznie, dzięki częściowej elektryfikacji jednak oszczędności na wę-

glu już teraz przekraczają półtora miliona ton rocznie.

Korzyści, wynikające z elektryfikacji, są następujące: Szerokie granice dodatkowego obciążenia: 25% na godzinę 60% na kwadrans. Dzięki temu możliwy jest szybszy start, jak i wogóle większe przyspieszenie biegu.

Możliwość uruchamiania na uczęszczanych trasach dodatkowych pociągów przy zachowaniu proporcji między zużyciem prądu, a zwiększeniem obsługi linii podczas, gdy puszczenie dodatkowego pociągu parowego łączy się z zużyciem węgla, nie pozostającym w żadnej proporcji do zwiększonej obsługi, z reguły bowiem w takich przypadkach wydajność lokomotywy nie jest w pełni wykorzystana.

Lepsze wykorzystanie lokomotyw elektrycznych, dzięki czemu przebyta trasa roczna jest przeciętnie trzy razy większa, niż trasa lokomotywy parowej.

Koszty związane z utrzymaniem maszyn w należytym stanie, są w odniesieniu do lokomotyw elektrycznych o 60% niższe, niż koszty pielęgnacji lokomotywy parowej.

Mniejsza ilość personelu, zatrudnionego przy kierowaniu lokomotywą elektryczną i pielęgnacji sprzętu.

Zaoszczędzenie dowozu węgla na stacje dla lokomotyw parowych.

Mniejsze zużycie torów.

Zmniejszenie pracy obsługi pociągu.

Wreszcie wygoda podróżnych wobec braku dymu.

Jeśli chodzi o ujemne strony elektryfikacji, to najważniejszą są wysokie je-

dnorazowe wkłady z nią związane. Doświadczenia z przed obecnej wojny wykazały, że elektryfikacja oplaca się z chwilą, gdy oszczędności na węglu wynoszą 300 ton rocznie na 1 km.

Drugą ujemną konsekwencją jest uzależnienie od przewodnika prądu elektrycznego, podczas, gdy lokomotywa parowa porusza się o własnej sile. Ten argument był często wysuwany zwłaszcza w związku z ewentualnością wojny. Wobec siły i skuteczności obecnych bombardowań lotniczych, a zwłaszcza zniszczeń, jakie powoduje bomba atomowa, unieruchomienie może jednak objąć tak wielkie odcinki trasy, że pod tym względem różnica między ryzykiem, związanym z koleją parową, czy elektryczną, staje się coraz mniejsza.

Dotychczasowe rezultaty elektryfikacji kolei francuskich wyrażają się w 25% udziale w obsłudze towarowej, oraz oszczędnościach, które w 1938 r. wyniosły 660 milionów franków, stanowiących odpowiednik stopy zysku, wynoszącej 19%.

Warszawa zagrożona

Zaczynamy się już godzić ze ślamazarnym tempem odbudowy stolicy, nabierającym specjalnego wyrazu na tle światoburczych planów BOS, które marzą i o dwupiętrowych arteriach i nierozliczonych liniach komunikacyjnych i o kościołach, do których można dopłynąć tylko promem i o dzielnicy uniwersyteckiej, składającej się z samych placów — słowem z tej całej nieobliczalnej fantazji, za którą żąda się, aby rachunek zapłaciła

zamieniona w aleję kramików Marszałkowska.

Z tym się zaczynamy godzić, a gdy w końcu elektrownia wogóle przerwie prąd dla Warszawy — pogodzimy się już całkiem. Zamilknijmy.

Ale są rzeczy, o których milczeć nie można. Tragiczne, przerażające sprawy.

Kto w Warszawie wie, jak wygląda „przyrost naturalny“ stolicy? Ciekawym ofiarujemy kilka cyfr:

Rok 1945	małżeństw	u r o d z e n		zgonów ogółem	Ubytek
		żywych	martwych		
kwiecień	371	539	—	607	68
maj	249	459	4	665	206
czerwiec	331	372	2	674	302
lipiec	423	443	3	623	180
sierpień	354	406	2	630	224
wrzesień	539	449	2	626	177

Tak wygląda wymierająca Warszawa. Śmiertelność w stolicy jest przerażająca. Na gruźlicę umiera miesięcznie 90 do 120 osób (20%), na serce 90 do 115 osób, zabójstw mamy miesięcznie 7 do 20, śmierci gwałtownych 37 do 42 (3%)

Ale rzeczywistość stokroć tragiczniejsza, to niedobór urodzeń śmiertelność dzieci oraz młodzieży.

Dzieci do roku stanowią od 10 do 23% zmarłych w Warszawie! Zmarli w wieku do 30 lat stanowią od 30% (w kwietniu, maju, czerwcu), do 45% (w lipcu i sierpniu)!

Zapytujemy: dla kogo tak się męczą architektki BOS? Bo za te 10 lat, zanim uzgodnią między sobą, jak ma Warszawa wyglądać, w Warszawie może nie być nikt tylko owych „wymarzonej“ 2 milionów mieszkańców — ale wogóle nikogo. P. C.

SZEROKI HORYZONT

POSEZONOWA WYPRZEDAŻ.

Powracając do swego kraju wojska Stanów Zjednoczonych, chcą dla uniknięcia kosztów transportu, pozostawić znaczną część swego wyekwipowania w Europie. Oczywiście, ekwipunek ten będzie w znacznej mierze rozprowadzony przez UNRRA między poszczególne, dotknięte wojną kraje, a częściowo rozsprzedany w małych ilościach między ludność w dotychczasowych miejscach postoju wojsk amerykańskich.

Okazje będą dla nabywców rozmaite. Nie każdy, rzecz jasna, będzie chciał zafundować sobie działko przeciwpancerne, latającą fortelkę czy czołg do domowego użytku, ale Amerykanie mają i inne rzeczy do pozostawienia. Specyfikacja obejmuje olbrzymie ilości ubrań i bielizny, kilkadziesiąt ton filiżanek i talerzy z prawdziwej porcelany, oraz wiele innych przedmiotów bardziej „cywilnych“.

Z drugiej strony, Amerykanie chcą zwrócić Francuzom ich olbrzymi transatlantyk „Normandie“, który zarekwirowali im 12 grudnia 1941 r., a więc w kilka dni po zdradzieckiej napaści Japonii. Nadali mu wówczas nową nazwę „La Fayette“, zamierzając przerobić go na lotniskowiec względnie transportowiec wojskowy. Szybkie tempo prac zostało jednak przerwane już 9 stycznia 1942, kiedy to na pokładzie statku wybuchł olbrzymi pożar. Ponad 200 robotników zginęło w płomieniach, a straty szacowano na milion funtów szterlingów. Ostatecznie dokonano kosztem 2 milionów funtów szterlingów zupełnego remontu, po którym jednak, nie oddano statku do użytku wojennego.

Obecnie, oficjalnie ogłoszono, że Francja ma prawo opcji do tego kolosa morskiego. Ale rząd francuski nie przejawia zbytniego entuzjazmu w tej sprawie. A więc nie wszystkie posezonowe wyprzedaże są wspaniałymi okazjami.

WIEK POSTĘPU.

Świat idzie naprzód. A awangardą postępu jest Ameryka. A w pierwszym szeregu kroczą amerykańscy wynalazcy. Oto kilka epokowych wynalazków, zarejestrowanych ostatnio w Urzędzie Patentowym Stanów Zjednoczonych: parasolka z czerwona latarka, specjalnie dla nocy spacerowiczów na wiejskich szosach. Mydło do kąpieli z otworem pośrodku, przez który nawleka się sznurek do zawieszania na szyi — nareszcie koniec ze złośliwością rzeczy martwych i

wyślizgiwaniu się krnąbrnego mydła w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Inny wynalazca opatentował broń strzelającą gumowymi płytkami — specjalnie do zabijania much w zaciszu domowym. I pomyśleć, że Wojski był taki zacofany... Zresztą jeden wymyśla zautomatyzowaną śmierć dla much, a inny bombę atomową... Ale jedźmy dalej! Nie można przecież pominąć milczeniem genialnego widelca do jedzenia makaronu, który ma obrotowy trzonek dla nawijania tego przysmaku. Ludzkość rozporządza już — oczywiście po nabyciu patentu — pomysłowym kufrem na kosztowności i pieniądze, który częstuje ewentualnego swego złodzieja elektrycznym uderzeniem, wydzielając równocześnie gaz łzawiący i wzywając przez automatycznie działające radio pomocy najbliższego samochodu policyjnego przez nadawanie S. O. S.

Jeżeli wspomnimy również i mniej ważne wynalazki ostatniego okresu, jak penicilinę, samolot raketowy i hasające atomy, to trzeba stwierdzić, że ludzkość idzie wielkimi krokami naprzód. Stworzymy sobie nowy, wspaniały świat. Będziemy na zażyłej stopie z widelcami do makaronu, będziemy nosić mydło na sznurku na szyi, zamykać pieniądze w niedostępnym kufrze i spacerować w nocy bez obawy przejechania dzięki wspomnianej parasolce. Oby tylko nasze sununki z wyzwoloną energią atomową ułożyły się równie dobrze, a wszystko będzie jak najlepiej.

RUSZYMY Z POSAD BRYŁĘ ŚWIATA

Trudno jest nam wprost ogarnąć myślą ogrom zmian, jakie pociągnie za sobą należyte użytkowanie energii atomowej. Należyte — to znaczy w naszym pojęciu, że Hiroshima i Nagasaki przejdą do historii, jako pierwsze i zarazem ostatnie miasta, zniszczone przez bombę atomową, a że ta nowowyzwolona energia pomoże ludzkości w jej pochodzie ku szczęściu poprzez dobrobyt i pokój.

Mówi się ostatnio wiele o samochodach i lokomotywach poruszanych przez wspomnianą energię. Ale to jeszcze nie wszystko — trzeba tylko uzmysłowić sobie

należyte fakt, że kilogram Uranium 235 ma siłę eksplozywną równą w przybliżeniu 2.000.000 kilogramów — dynamitu. Tym samym staną się wykonalne gigantyczne zamierzenia, błędzące dotąd w strefie fantazji, a polegające na zupełnym przekształtowaniu wielkich połaci naszego globu, na zamienieniu dotychczasowych pustyni w kraje mlekiem i miodem płynące.

Wyrażając się nieco ściślej, będziemy mogli w bardzo krótkim czasie i przy niewielkim stosunkowo nakładzie kosztów zniwelować całe góry lub też tworzyć sztuczne jeziora dla nawadniania obszarów pustynnych. Jak dotychczas, wszelkie tego rodzaju projekty wymagałyby dziesiątków tysięcy robotników, setek maszyn, a także postawiłyby przed ewentualnymi realizatorami ciężkie do rozwiązania problemy przewozu tego całego zespołu na pustynię i jego aprowizacji w terenie. Dalej, wymagałyby to wielkich inwestycji o problematycznej opłacalności.

Tymczasem — jak zapewniamy poważni uczeni — jesteśmy już dziś w stanie ściąć przy pomocy energii atomowej cały szczyt góry tworząc zarazem olbrzymi krater, w którym zebrać można miliony metrów kubicznych wody. Nabiera to specjalnego znaczenia na bezkresnych pustyniach Australii i Ameryki, gdzie można byłoby magazynować w ten sposób wodę w porze deszczowej, by następnie podczas suszy rozprowadzać ją łatwym do wybudowania kanałami w doliny. Inne zastosowanie polegałoby na przesunięciu całej góry dla utworzenia sztucznej zapory na drodze rzeki której spiętrzone wody utworzyłyby znowu rezerwuuar, dając jednocześnie — podobnie jak i w pierwszym wypadku — duże możliwości wykorzystania energii białego węgla dla potrzeb nowopowstałych osiedli rolniczych.

Wiele zagadnień „przestrzeni życiowej“ straciłoby na ostrości przez udostępnienie dla milionów ludzi nowych, dotąd odległym leżących obszarów. Kto wie, czy nie wkroczyliśmy w epokę realizacji przez ludzkość prorocstwa Izajasza — „Ma pustynia uraduje się i rozkwitnie jako róża“?

KIEDY PO ĆWICZENIACH MAMY WOLNY CZAS..

Myślę, że gdyby Niemcy umieli po polsku, toby chyba śpiewali teraz tę piosenkę. Czasami bowiem, przeglądając prasę, ma się wrażenie, że żołnierze Wehrmachtu nie są pokonanymi, że nie przegrali wojny, a tylko wypoczywają obecnie po wielkich ćwiczeniach.

Przypominamy o wpłaceniu prenumeraty za miesiąc styczeń, pierwszy kwartał lub pierwsze półrocze 1946 r. Prenumeratę, wynoszącą 30 zł. mies., 85 zł. kwartalnie, prosimy wpłacać na nasze konto w P. K. O. — Warszawa I-727 lub przekazem pocztowym na adres Administracji.

Redaguje: Kolegium redakcyjne. Redaktor naczelny: Witold Bienkowski. Kierownik Oddziału Krakowskiego: Wojciech Kętrzyński. Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Adres redakcji i administracji: Marszałkowska 81 m. 17. Konto P. K. O. — Nr I-727. Redaktor przyjmuje codziennie od godziny 11 do 12.

Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4. Redaktor przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godziny 13 do 14.

Prenumerata miesięczna 30 złotych. Kwartalna 85 złotych.

Złożono w Zakł. Graf. „Dźwignia“ Widok 24. B-03293

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr. 2, Marszałkowska 3-5.